BIBLIOTEKA INSTYTUTU HISTORII KULTURY W GDAŃSKU
Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
CIV 9013

NUMER SPECJALNY — 16 STRON

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 28 listopada 1948 r. | Nr 48 (157)

TREŚĆ NUMERU: W kraju i W świecie; J. Dobraczyński — Ewangeliczna Powieść; M. Kononowicz i B. Marynowska — Sztuka ludowa; W. Bąk — Listy; M. J. Kononowicz — Hucułka; J. Grabski — Z teki poetyckiej; A. Gołubiew — Wojacki śpiew; Jubileusz; A. Staronka — Świat atomowy i filozofia; Z, Lichniak — Walka o metodę; M. A. Wasilewski — O boksie dla inteligencji pracującej; K. Koźniewski — Oszustwo się opłaca; Z. Lichniak — Problem; P. Jasienica — Czerwone piętna: Tydzień kulturalny; Wędrówki po scenach polskich: Film; Wł. Pietrzak (Balk) — Lot Jaskółek; Czytelnik uważa, że....

Wojciech Kętrzyński

Na tle nocy listopadowej

„Szli, krzycząc, Polska, Polska!
W tem jednego razu
Chcąc krzyczeć zapomnieli na
ustach wyrazu
Pewni jednak, że Pan Bóg do synów
się przyzna
Szli dalej krzycząc: „Boże!
Ojczyzna! Ojczyzna!"
W tem Bóg z Mojżeszowego
pokazał się krzaka
Spojrzał na te krzyczące i zapytał:
„JAKA?"

(Juliusz Słowacki)

Była ciemna, wietrzna i wilgotna noc listopadowa 1830 roku. Miasto szykowało się do spoczynku po codziennym trudzie. Gdy jedni szukali wytchnienia w domowym zaciszu, inni podążali szumnie i stroj nie do teatru „Rozmaitości" na przedstawienie „Bankructwo partacza. Krotofila ze śpiewkami", inni jeszcze, a zwłaszcza młodzież szukała rozrywki w modnych kawiarniach, czy gwarnych szynkach staromiejskiej dzielnicy. Byli jednak i tacy, dla których zbliżający się wieczór bynajmniej nie był okresem spoczynku po pracy. Byli tacy, którzy przeżywali w tej chwili cały brzmienny ciężar powziętych i nieodwołalnych decyzji. Za chwilę miały ich nazwiska wejść do historii w dobrej, czy złej sławie, a naród polski, nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni wejść na drogę zbrojnej walki o swą przyszłość.

Czekano na z n a k . Oczy spiskowców z niecierpliwością wypatrywały na warszawskim niebie łuny, zwiastującej chwilę rozpoczęcia walki z carskim namiestnikiem, z całym nienawistnym systemem musztry i drylu, gwałtu, pogardy, spętania wolności i szpiclostwa, jaki on uosabiał. Scena, jakby żywcem wyrwana z poezji Wyspiańskiego. Tłum rozgorączkowany i uzbrojony, w podniosłym nastroju czekającej go walki — wypatrujący w bezradnej rozpaczy znaku, który się nie miał ukazać na czas. Stary browar na Solcu, podpalony ręką nieudolną i niezdecydowaną, tlił się wprawdzie przez czas pewien, lecz dostrzeżony w porę przez straże został ugaszony nim łuna rozkwitła na niebie.

Wódz spiskowców — porucznik Piotr Wysocki czekał. On jeden wprawdzie wiedział, że umówiony sygnał zawiódł, lecz ważył jeszcze w sobie ostateczną decyzję. Nie raz ją już przekładał. Raz odwołał z powodu „opóźnienia się rozesłanych po kraju emisariuszy", raz z powodu „niewykonania przewidzianych planów", raz zaś dla „niedogodności pory roku". Był Piotr Wysocki człowiekiem szlachetnym, ale niedorosłym wewnętrznie do wysokości przyjętego, trudnego zadania. Wprawdzie miał się parokrotnie w ciągu historycznej nocy odznaczyć męstwem, opanowaniem, zdolnościami dowódcy, wprawdzie miał w nagrodę za swą postawę być wyróżniony pierwszym złotym krzyżem, mianowany kapitanem i adiutantem wodza naczelnego, lecz pięt na swej indywidualności nie miał pozostawić na przebiegu powstania. „Nie miał i mieć chciał zdanie polityczne lub wojskowe", napisano o nim współcześnie. Gdy zaś powstanie załamywało się, gdy trzeba było wykrzesać z siebie i z innych najwyższy wysiłek, Wysocki, jako dowódca młodego pułku piechoty taki sobie zasłużył sąd u nieprzebierającego w słowach generała Bogusławskiego: „gęsi wodzić, a nie pułk rekrucki hartować!"

Drugi zaś obok Wysockiego przywódca spisku ppor. Józef Zaliwski, choć ruchliwszy, sprytniejszy i energiczniejszy od Wysockiego, choć ambicjami nad nim znacznie górujący, zawieść miał jeszcze haniebniej brakiem decyzji i odwagi moralnej. Później zawieść miał raz jeszcze oddając bez wystrzału ważny most na Bzurze. Od wyroku sądu wojennego uratował go tylko ogólny rozkład dyscypliny pod koniec powstania.

Takim ludziom powierzył władzę związek spiskowców, posiadający za sobą tradycje Łukasińskiego, zaś w swych szeregach wielu młodych, odważnych i tęgich umysłów, posiadający oparcie w zwartej, ideowej, wręcz rewolucyjnej grupie, jaką była warszawska Szkoła Podchorążych Piechoty.

Sygnał zawiódł. Piotr Wysocki się wahał, tracąc cenny czas.

Porucznik Zaliwski czeka całe dwie godziny, nie zdobywa się na odwagę rozpoczęcia walki na własną odpowiedzialność.

W lasku łazienkowskim topnieje zebrana grupa spiskowców cywilnych. Z przewidzianych pięćdziesięciu pozostaje wokół Nabielaka — czternastu.

Wreszcie jednak rozlega się w Szkole Podchorążych okrzyk: „Do broni!" Padają pierwsze strzały. Do Belwederu, do apartamentów Konstantego wdziera się grupa strzelców, i choć nie dochodzi tyrana — to jednak szerzy popłoch i stwarza niezbędny dla powstańców wstrząs psychiczny. Szkoła Podchorążych, osamotniona i osaczona znaczy krwią własną i nieprzyjacielską trasę od koszar łazienkowskich aż po stare miasto. Jedne po drugich ruszają do walki oddziały powstańcze. W ciągu paru tragicznych godzin niepokojąco waża się szale, łamią charaktery, najniespodziewaniej manifestuje się patriotyzm jednych, lojalność wobec cara u innych. Ulice Warszawy znaczą trupy generałów Blumera, Haukego, Nowickiego, Trębickiego, pułkownika Meciszewskiego, zabitych z rąk własnych rodaków, czy to w odwet za zdradę, czy to z rozpaczy, iż nie chcą powstańcami dowodzić, czy to wreszcie, po prostu przez pomyłkę.

W walce nocnej odznaczają się nikomu nieznani podchorążowie i podporucznicy, których imion nawet nie zapamiętała historia: Nyko, Trzaskowski, Czarnecki, Dobrowolski. Siłą charakteru i wiarą w ideę rewolucji wykazali się nie Wysocki czy Zaliwski, lecz kapitan Roślakowski, porucznicy Lubowidzki, Wyszpolski, Kozicki, którym przyszło się zetrzeć z autorytetem ukochanego im Bogusławskiego, grozić mu śmiercią, wreszcie powalić na ziemię, by móc wyprowadzić z koszar Czwartaków.

Pada Arsenał, warszawska Bastylia 1830 r. Porwane głosem Mochnackiego, Bronikowskiego, Żukowskiego, Kozłowskiego, powstają do walki staromiejskie, ludowe dzielnice. Miodowa, Kapitulna, Piekarska, Długa, Freta, Dunaj, Krzywe Koło dostarczają niesfornego może, ale zapalonego i na wszystko zdecydowanego ochotnika, który wprawdzie regularnego wojska nie pokona, lecz przetnie carskim oddziałom komunikację, a własnym żołnierzom da tak niezbędne poczucie siły i entuzjazmu.

Wydaje się, że właśnie ten tłum uzbrojony nierzadko bronią nie na bitą był owej nocy najważniejszym czynnikiem zwycięstwa. Żołnierz, choć bitny i wyćwiczony był zdezorientowany i nie dowodzony. Oficerowie mimo niewątpliwie dużego potencjału patriotycznego byli przybici tak panującym wokół chaosem, jak i faktem, że poza wyjątkami, nikt powyżej stopnia kapitana do powstańców się w pierwszej chwili nie przyłączył. Wreszcie, co też trzeba podkreślić, nie było w tym czasie wrogiego napięcia uczuciowego między przeciętnym Rosjaninem a Polakiem w Królestwie. Oba wojska się bić nie chciały ze sobą, jeńców oszczędzano, a nie rzadkie były, przynajmniej po polskiej stronie wypadki ratowania i przebierania rosyjskich oficerów. W tym stanie rzeczy, wobec ciążącego od pierwszej do ostatniej chwili na akcji powstańczej bezwładu — właśnie ta masa, niesforna, ulegająca nastrojom tak paniki, jak i entuzjazmu — była istotnym czynnikiem ruchu i działania. W tej samej mierze, i z podobnych przyczyn wewnątrz regularnego wojska polskiego czynnikiem ruchu i działania byli nie przywódcy, nawet nie dowódcy, ale ci nieznani nieraz podchorążowie, młodzi oficerowie i podoficerowie - związkowcy.

Nad ranem dnia 30 listopada walka dogasała w mieście. Ponury Wielki Książę, bierny widz nocnych zapasów wycofywał się ku Wierzbnie, otoczony wiernymi mu generałami i oddziałami tak rosyjskimi, jak i z przypadkowo w jego obozie znajdującymi się Polakami.

Warszawa, upojona radością zwycięstwa, przypominająca sobie dni triumfu 1794 roku, z pieśnią na ustach, z bronią w ręku witała niepewny świt nowego dnia. Po staromiejskich ulicach, po zaułkach i za kamarkach rozlegał się jeszcze głos spiskowców: „Do broni! do broni! Niech żyje Polska!"

⁂

„W tem Bóg z Mojżeszowego
pokazał się krzaka
„Spojrzał na te krzyczące
i zapytał: JAKA?"

⁂

Każdego, czytającego choć najpobieżniej dzieje polskich walk niepodległościowych musi uderzyć zastanawiający problem dysproporcji pomiędzy wkładem jednostkowego entuzjazmu, poświęcenia, umiłowania sprawy a wewnętrzną bezsiłą, jakąś deterministyczną atmosferą klęski, która stale towarzyszy temu okresowi. Jeśli tyle nagromadzonych wartości się marnowało w każdorazowym porywie, to niezależnie od faktu, że nawet klęski podtrzymywały świadomość i wolę narodu — musi być jakaś tej słabości przyczyna, tkwiąca istotnie w samym polskim ruchu wolnościowym w okresie zaborów.

Główny ciężar zainteresowań historycznych, dotyczących tego okresu koncentrował się przez długi czas, przed Wielką Wojną i zaraz po niej na zagadnieniu przyczyn upadku Polski. Ostatecznie nie dopracowano się dotychczas jasnego i syntetycznego sądu o tym problemie. Pozostawiając rozwiązania fragmentaryczne, sformułowane powierzchownie, subiektywnie — historiografia II Rzeczpospolitej zajęła się raczej zagadnieniem syntezy walk powstańczych. Problemu polskich ruchów niepodległościowych także nie rozświetlono do końca. Historiografia współczesna zaś, nie kusząc się o wypełnienie powstałych luk, zajęła się przede wszystkim okresem dojrzewania nowoczesnych ruchów społecznych począw-

Czytelnikom i Sympatykom „Dziś i Jutro", którzy towarzyszą nam od trzech lat w trudnej lecz konsekwentnej drodze, składamy serdeczne wyrazy podziękowania.

Redakcja i Zespół
„DZIŚ i JUTRO"

DM 159/95

szy od roku 1864. Uznając wartość prac historiopoznawczych poszczególnych okresów, sądzimy jednak, że pasjonująca, ale stale aktualna zagadka, której na imię Polska współczesna nie może być rozwiązana póki nie zostanie jasno sformułowana odpowiedź na pytanie, dlaczego Polska upadła i dlaczego tylekroć i w taki sposób załamywała się w walkach wolnościowych. Proces walki o niepodległość z trzema zaborcami wyrósł z procesu rozbiorów, tak jak społeczeństwo polskie porozbiorowe z Rzeczypospolitej Szlacheckiej. Zagadnienia niepodległościowe stanowiły przedłużenie zagadnień politycznych i ideowych epoki stanisławowskiej. Wszystkie zaś obracały się wokół jednego, fundamentalnego pytania: o jaką Polskę walczono. Dopiero następnie wynikało pytanie drugie — jak o nią walczono?

Znajdujemy w historii okresu rozbiorowego i porozbiorowego dwie zasadnicze tendencje. Jedna z nich szła po linii ratowania przede wszystkim państwowości polskiej, choćby kosztem zahamowań ustrojowo-społecznych, i druga — dążąca za wszelką cenę do odnowy społeczeństwa, gotowa narażać się na trudności polityczne wewnętrzne i międzynarodowe.

„O POLSKĘ, JAKĄKOLWIEK BY BYĆ MOGŁA"

To, co Aleksander Bocheński w swej syntetycznej pracy „Dzieje Głupoty Politycznej" nazywa cyklem sprzyjających koniunktur geo-politycznych, było w istocie układem sił tak politycznych jak i ideowych, umożliwiających częściową odbudowę samorządu narodowego, nie sprzyjających natomiast zupełnie próbom polskiej odnowy społecznej. Jeśli cały wiek XIX rozwijał się pod znakiem przeważających tendencyj zachowawczych, to trzej rozbiorcy Polski, posiadający przez cały czas dominujący wpływ na nasze życie wewnętrzne, byli właśnie filarami konserwatyzmu politycznego, ustrojowego i społecznego. Tylko te elementy społeczeństwa polskiego, które reprezentowały sobą tendencje konserwatywne mogły więc podejmować politykę ugody z zaborcą za cenę uszanowania resztek odrębności prawno-państwowej narodu polskiego. Rzecz oczywista, że w tej orientacji odnajdujemy zarówno pobudki ściśle egoistyczno-klasowe, jak również i altruistyczne tendencje „oświeconego konserwatyzmu". Teoria ta zakładała, że w braku więzi państwowej należy za wszelką cenę ratować więź narodową. Zasadniczym czynnikiem dla utrzymania tej więzi, jest ziemia, oświata i poczucie solidaryzmu. Nieudane powstania przynosząc coraz większy zanik bogactwa i oświaty, osłabiają naród, a państwowości i tak Polsce nie powrócą. Należy wiec jedynie wzmacniać siły narodowe, i czekać aż w sojuszu z tym czy innym mocarstwem rozbiorczym, lub też z Francją (Hotel Lambert) niepodległość powróci, niejako bez naszego bezpośredniego udziału.

Nawet najbardziej wartościowa orientacja konserwatywna nie widziała w społeczeństwie polskim potrzeby radykalnych przemian społecznych. Najskrajniejszy postulat w tej dziedzinie polegał na podniesieniu oświaty i ewentualnym naprawieniu błędów ustrojowych, zapewniających w przyszłości zdrowsze formy życia państwowego.

Przeciwni jesteśmy odsądzania tego kierunku od czci i wiary, jak czyni to do dziś część historiografii. Orientacja ugodowo - konserwatywna, choć była skazana na klęskę z chwilą, gdy ogólno-europejski układ sił przechylił się ku postępowi — mogła istotnie w niektórych okresach zapewnić narodowi nie tylko normalniejsze warunki rozwoju, ale także wyprowadzić Polskę z okresu rozbiorów silną gospodarczo i kulturalnie, z rozbudowaną siecią fabryk, szos i kolei, ze zmniejszonym analfabetyzmem, z racjonalną administracją. W istocie jednak, mimo posiadania w społeczeństwie wpływów dalekoidących, mimo dysponowania we wszystkich zaborach najtęższymi politykami polskimi — była jednak ta orientacja każdorazowo pokonywana przez radykalne, zbrojne odruchy niepodległościowe społeczeństwa. Przyznać też trzeba, że miała, w szczególności w Rosji carskiej — bardzo niewdzięcznego partnera.

Jest jednak faktem, że do tej właśnie orientacji należy i Stanisław August i Szczęsny Potocki, chwilami Staszyc i Czartoryski, Lubecki, Wielopolscy, Gołuchowski, Dmowski, Stańczycy w Galicji a Koło Polskie w Berlinie. W poszczególnych okresach i poszczególnych dzielnicach różniły się programami, taktyką, ambicjami, lecz przedstawiały w istocie jeden i ten sam zwarty kierunek polityczno-ideowy. Na skrajnym prawym skrzydle stoją jeszcze i ci wprawdzie, którzy, jak Jabłonowski, Światopełk-Mirski, Rzewuski, czy Grabowski w imię solidarności klasowej szlacheckiej zdradzili sprawę polską, znajdując sobie w panslawiźmie nową ojczyznę. „Historia Polski samoistnej jest samoistnie skończona, twierdzili. Odtąd żyć ona tylko może jako członek Rosji lub Słowiańszczyzny". Były to jednak tylko odbryski integralnego lojalizmu, podczas gdy w orientacji ugodowej przeważał nie lojalizm a legalizm, czyli zasada działania narodowego w ramach nakreślonych przez ustrój państwa zaborczego.

Jeśli stwierdzimy generalnie, że choć na krótką metę, jednak kierunek ugodowo - konserwatywny mieści się w ramach ówczesnej racji stanu narodu polskiego, to trzeba też jasno podkreślić, iż nie mieścił się on w żadnym razie w ramach przeciętnej psychiki polskiej, która racjonalności tego kompromisu nie uznawała. Stąd tak częste w tej orientacji załamania, a w ogólnym bilansie — klęska tej orientacji w dziejach Polski porozbiorowej.

„O NOWĄ POLSKĘ"

Skrajnym przeciwstawieniem się orientacji konserwatywno - ugodowej była, rysująca się wyraźnie począwszy od epoki stanisławowskiej tendencja rewolucyjnej odnowy społecznej narodu polskiego. W pełnej świadomości, że u źródeł wszystkich nieszczęść Polski leżą nie tylko błędy ustroju państwowego, lecz i przede wszystkim błędy ustroju społecznego — dążył ten kierunek stale i bez przerwy do zburzenia istniejącej predominancji klasy szlacheckiej a obudzenie z drętwoty narodowej najszerszych warstw ludowych, w których upatrywał siłę i przyszłość Polski.

Ten rewolucyjny kierunek rozwijał się jednak nie tylko w stale niesprzyjającej koniunkturze ogólno-europejskiej, lecz i przede wszystkim w atmosferze powszechnej obojętności całego społeczeństwa polskiego. Daltonizm społeczny był i jest jeszcze w Polsce cechą nagminną. Jeśli zaś dodamy do tego stały i niezmienny egoizm klasowy tych warstw, które ster spraw polskich w swych rękach trzymały — będziemy mieli zasadniczy obraz trudności na jakie napotykał i jakich pokonać nie potrafił kierunek odnowy społecznej w Polsce. Niemniej trzeba stwierdzić, że istniał, że rozwijał się, że walczył. Walczył przeważnie jednostkowo, czerwoną nicią przewijał się w polskich organizacjach niepodległościowych rzadko przybierając formy konkretne, jak w okresie Kuźnicy Kołłątajowskiej, Wolnomularstwa Narodowego, sprzysiężenia Wysockiego, gromady Grudziąż i Humań, Ludu Polskiego, a wreszcie w rozłamach i kontrowersjach socjalizmu polskiego.

Istotnym problemem tego ruchu była świadomość, iż siła ciążenia konserwatyzmu nad całą ówczesną Europą była tak wielka, iż przekreślała praktycznie na długie dziesiątki lat szanse zwycięstwa i dojścia tą drogą do niepodległości narodowej. Temu właśnie niesłychanie ważnemu zagadnieniu pozornych, a czasami faktycznych sprzeczności między ideą rewolucji społecznej i niepodległości narodowej poświęcił swe ciekawe, choć dorywcze studium: „U źródeł teraźniejszości" — Henryk Jabłoński.

Otóż istotnie był to problem podstawowy. Motorem wszystkich polskich walk niepodległościowych były właśnie tendencje społeczno-rewolucyjne. W obliczu jednak faktu, iż ruchy te mobilizowały przeciw sobie wszystkie ówczesne państwa konserwatywne, a umiarkowane siły postępowe Europy zachodniej odmawiały stanowczo poparcia rewolucjom społecznym, w obliczu widma klęski powstańczej inicjatywa wypadała z rąk rewolucjonistów. Umiarkowani przejmowali ją zawsze, choć także bez realnych szans zwycięstwa. Tak było w roku 1794, tak w 1830, tak w 1863.

Zabrakło w ruchu rewolucyjnym genialnej, prorocej indywidualności, która by potrafiła umocnić wiarę, że lepiej przegrywać powstania, budując jednak świadomość programu przemian społecznych i budując od etapu do etapu zwartą siłę społeczną, niźli iść na bezwartościowe kompromisy, nie ratujące wyniku walki, a zatracające ostrość społecznych konturów tych wystąpień. Gdyby się znalazł w Polsce umysł, który by zwolenników odnowy społecznej natchnął wiarą w ostateczne zwycięstwo mimo wszystko, tak jak wierzono mimo wszystko w ostateczne zwycięstwo narodowe — wyszlibyśmy z tego okresu odnowieni od fundamentów. W istocie jednak wyszliśmy w roku 1918 z odzyskaną niepodległością, lecz obarczeni całym balastem nie dokonanej od XVIII wieku odnowy społecznej.

Tu natomiast, tak samo jak i w orientacji konserwatywnej — na skrajnym skrzydle znaleźli się ci, którzy w imię społecznej rewolucji, w imię solidarności sprawy proletariatu znaleźli w sprawie społecznej nową ojczyznę. Dłuski, Dikstajn, Waryński, Mendelson, chcieli być konsekwentni do końca, tak jak chciała być konsekwentna Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy, gdy stwierdzała, że „Program odbudowy państwa polskiego jest dziś utopią, dla urzeczywistnienia go musiałby proletariat polski posiadać potęgę, przy której byłby już w stanie uczynić przewrót socjalistyczny". Tezy te potępione zostały nie tylko przez naród polski, lecz i przez Marksa i Lenina w imieniu idei proletariackiej. Mimo to u źródeł słabości ruchu rewolucji społecznej w Polsce pozostał przez cały wiek XIX i początek XX nierozstrzygnięty dylemat: co najpierw — niepodległość czy rewolucja społeczna?

Tak jak naród polski nie chciał doceniać chwilowych korzyści politycznych, jakie przynosił kompromis konserwatywny, tak nie doceniał dalekosiężnych korzyści społecznych, jakie reprezentowała ideowa bezkompromisowość rewolucyjna. Oba te kierunki nie mieściły się w przeciętnej ówczesnej psychice polskiej. Dziś, gdy odrzucamy ówczesne względy koniunkturalno-taktyczne musimy przyznać bezwarunkowe pierwszeństwo tendencjom rewolucyjnym. Mimo wszelkich błędów one bowiem stanowiły o przyszłości. Obiektywizm historyczny każe jednak stwierdzić, iż obie orientacje były wobec sprawy polskiej jednakowo bezsilne.

„O POLSKĘ MITYCZNĄ"

Silne było natomiast wszystko to, co mieściło się po środku, co było umiarkowaniem, lecz także utopią ideową i polityczną. Bez względu bowiem na podział na tych co wierzyli w rządy i tych, co wierzyli w ludy, bez względu na podział na tych, co chcieli być konserwatywni i monarchistyczni i na tych, którzy byli demokratyczni i republikańscy — byli oni wszyscy wraz z całą działalnością polityczną — poza rzeczywistością współczesną i poza racją stanu polską. Ani Kościuszko, ani Dąbrowski, ani Czartoryski na emigracji, ani Lelewel, ani polityka Hotelu Lambert, ani Towarzystwa Demokratycznego, ani Klemensowczyków nie było to w rzeczywistości niczym innym jak paliatywem, jak surogatem działalności niepodległościowej lub rewolucyjnej. Czekali oni wszyscy na ratunek stąd, skąd on przyjść nie mógł, bo rządy nie chciały a ludy nie mogły, a do czynu bywali zmuszani tylko przez radykalne fermenty, lecz chwytając władzę ku której niosły ich siły nijakie — nie byli zdolni ani wygrywać powstań, ani przeobrażać społeczeństwo w krótkich okresach władzy nad narodem.

Tu właśnie w tym potrójnym bezwładzie tkwiły wszystkie źródła słabości Polski w okresie rozbiorów. Kierunek polityczno-ugodowy, choć dysponował koniunkturą dla doraźnych sukcesów — nie potrafił nigdy swych wpływów utwierdzić. Kierunek rewolucyjny, choć jemu przypadało ostateczne zwycięstwo nie zdobywał się nigdy na energię i na konsekwencję bezkompromisowej walki do końca. Oba te podstawowe i jedynie realne ruchy osłabione były tendencjami odśrodkowymi. Te wreszcie kierunki, które dysponowały całym wpływem na społeczeństwo i które w każdej zwrotnej sytuacji były siłą bezwładu wynoszone do władzy — reprezentowały w istocie program utopii i bezczynności, program oderwanego od życia idealizmu, podbudowany miękkością charakteru i sentymentalizmem tak przywódców jak i popleczników.

***

A gdy kraj ocalę
Nie zasiądę na tronie, przy tronie,
pod tronem.
Ja się w chwili ofiarnej jak
kadzidło spalę,
Imienia nie zostawię po ciele
spalonem
Tylko echo... i miejsce jakieś
wielkie, próżne...

***

Próżno Mochnacki ostrzegał: „Nie wolno przystępować do powstania bez przygotowania z góry rządu i wodza, wybranych spośród Związku. Temu rządowi, choćby złożonemu z ludzi nieznanych, temu wodzowi, choćby bardzo młodemu dasankcję, zapewni posłuch sam fakt opanowania kraju".

Mimo, iż na tajnych naradach nieraz wysuwano wniosek, że „rewolucyjni oficerowie i żołnierze nie mogą w przededniu wojny mieć na czele dawnego porządku" — tylko za nimi oglądano się w krytycznych chwilach nocnej walki. Rzecz paradoksalna — jedną z pobudek do buntu była właśnie chęć obalenia starszyzny wojskowej przez młodych i ambitnych oficerów. A mimo to błagano, całowano po rękach, zabijano nawet, by zmusić starych generałów do objęcia dowództwa.

Atmosfera romantyzmu, w których rozwijała się cała ówczesna koncepcja rewolucyjna odbierała tym ludziom nie tylko poczucie własnych możliwości, nie tylko wychowywała jakąś wewnętrzną abnegację, ale także i zacierała jasne na pozór kontury zadań do wykonania, które wymagały nie poświęcania ambicji własnych, lecz oddania się bez reszty dziełu zwycięstwa własnej sprawy.

Odnaleziono Chłopickiego w teatrze Rozmaitości. W obliczu przestraszonego i zaskoczonego tłumu widzów nastąpiła krótka i dramatyczna wymiana zdań. Powstańcy, publicznie błagali Chłopickiego by objął dowództwo nad powstaniem, a „wódz", odżegnywał się z pasją od wszelkiego związku z „szalonymi młokosami". Wreszcie przeciął dyskusję: „Idę spać"! i wyszedł z teatru. Na mieście przesilała się właśnie walka.

W parę godzin później przyjmował Chłopicki z najzupełniej innej strony propozycję wejścia do rozszerzonej rady administracyjnej.

Wokół Wielkiego Księcia gromadzili się zdecydowani zwolennicy ugodowości jak generałowie: Krasiński, Kurnatowski. Niedługo miał do nich dołączyć sam Lubecki. Wielki Książe jednak walkę hamował i powtarzał to samo bez przerwy: „Pas un coup de fusil" (Ani jednego strzału). Po części ze strachu, po części z wyliczenia, że siły ugodowe same opanują sytuację i przywrócą spokój bez konieczności interwencji z zewnątrz, Konstanty czekał.

Natomiast adiutant jego podpor. Zamoyski działał. On bowiem, a nie spiskowcy zwrócił się w nocy najzupełniej niespodziewanie do członków Rady Administracyjnej, by uchwyciła władzę leżącą na ulicy, by opanowała bunt i spróbowała drogą mediacji uciszyć grożącą burzę. W imieniu Rady udał się Lubecki w nocną niebezpieczną wędrówkę, by zapytać się carskiego namiestnika, czy nie ma sprzeciwu w stosunku do takiej inicjatywy. I dopiero na odpowiedź „Je ne me mele de rien" (Ja się do niczego nie wtrącam) wrócił do miasta i u prezesa Rady Sobolewskiego zebrał zespół mieszany z ugodowców i umiarkowanych: Czartoryski, Niemcewicz, Lubecki, Pac, Kochanowski, do którego mieli wnet dołączyć Radziwiłł i Chłopicki. Oto była pierwsza władza rewolucyjnej Polski 1830 roku. Oto ten zespół przeciwników powstania stworzył rząd tymczasowy, rząd Hamletów marzących o kompromisie, nie zdolnych już ani do ugody, ani do prawdziwej rewolucji.

W ciągu nocy 29 listopada, mimo pozornego zwycięstwa poniosły klęskę oba te kierunki, które istotnie narodem pokierować mogły. Wewnętrznie złamani wycofywali się w orszaku Konstantego nieliczni konsekwentni ugodowcy, spiskowcy stali bezradni na ulicach Warszawy, bez wodza, bez rządu, bez dalszego planu działania. Po rewolucji zostało...

„Tylko echo... i miejsce jakieś wielkie, próżne"

Wojciech Kętrzyński

Nowość **Nowość**

EWANGELIE
i
DZIEJE APOSTOLSKIE

przekład i komentarz
Ks. Eugeniusza Dąbrowskiego
Cena zł. 250
Albertinum
Warszawa — Poznań — Lublin

W kraju

KOMISJA GŁÓWNA DLA SPRAW KULTURY

UKONSTYTUOWAŁA się Komisja Główna dla Spraw Kultury, powołana uchwałą Rady Ministrów. Do zakresu jej działania należy: ustalanie zasad programowych i organizacyjnych oraz opracowywanie wniosków i projektów odnośnie krzewienia kultury; koordynowanie działalności kulturalno - oświatowych wszystkich organizacji społecznych; kontrola funduszów wydatkowanych przez organizacje społeczne na cele związane z krzewieniem kultury; ogólny nadzór nad działalnością organizacji społecznych w dziedzinie kulturalno-oświatowej. — Jest to więc jednym słowem instytucja mająca za zadanie koordynowanie rozproszonych dotychczas akcji kulturalno-oświatowych podejmowanych przez przeróżne organizacje społeczne. Przewodniczącym Komisji został W. Gebert. Do Komisji wchodzą przedstawiciele Związków Zawodowych, Zw. Samopomocy Chłopskiej, Służby Polsce, ZMP, TUR-u, TUL-u, ZNP Komitetu Koordynacyjnego Organizacji Społecznych oraz personalnie J. Albrecht, J. Borejsza, H. Jabłoński, E. Ochab, M. Rybicki, S. Tazbir, R. Werfel oraz z ramienia Rady Ministrów minister Kultury i Sztuki i minister Oświaty.

Wiceprzewodniczącymi Komisji zostali Ochab i Ignar, sekretarzem generalnym J. Borejsza. Komisja ukonstytuowała się w trzy podkomisje: czytelnictwa i słowa drukowanego, artystyczno - widowiskową oraz zagadnień uczelnianych. Do najbliższych zadań Komisji należyć będzie połączenie TUR z TUL, zagadnienie pracy świetlicowej, walki z analfabetyzmem, wypracowanie nowych metod akcji czytelniczej oraz organizacja upowszechnienia kin i teatrów.

STATUT PARTII ZJEDNOCZONEJ

W prasie partyjnej obu jednoczących się stronnictw ogłoszony został projekt statutu partyjnego, który ma zostać uchwalony na Kongresie Połączeniowym. Statut ten przewiduje organizację partii na zasadach „centralizmu demokratycznego", to znaczy nadanie dużej władzy wykonawczej organom partyjnym wybieranym od dołu ku górze. Wszystkie władze partyjne są wybieralne i mogą podlegać oddolnej pełnej krytyce, ale ich dyrektywy muszą być bezwzględnie wykonywane. Określenia „centralizm demokratyczny" pierwszy użył Lenin i wszystkie partie wywodzące swą ideologię z marksizmu - leninizmu stosują u siebie ten system, który jest systemem wielkiej dyscypliny partyjnej, zapobiegającym jakimkolwiek frakcjom.

JESIENNA AKCJA SIEWNA

UKOŃCZONA została jesienna akcja siewna. Odbywała się ona bez specjalnych udziałów pełnomocników siewnych, ograniczając się do zwykłych organów dystrybucyjnych, instruktorskich i kontrolnych. Akcja ta była wyjątkowo skuteczną. Obszar zasiewów jesiennych jest większy o 350.000 ha w porównaniu do roku ubiegłego i objął ogółem 3.950.000 ha zasiewów. Plan został przekroczony. Areał pszenicy uległ zwiększeniu o 14,3%, rzepaku o 3% mieszanek pastewnych o 5,5% zaplanowanej powierzchni. W akcji dostarczania ziarna siewnego, po specjalnie zniżonej cenie, tylko o 10% wyższej od ceny zbóż konsumpcyjnych, specjalnie dużo ziarna otrzymali chłopi mało- i średniorolni. Przemysł państwowy dostarczył 400.000 ton nawozów sztucznych. To jest ilość dwa i pół raza większa niż w roku ubiegłym. Nawozy zostały sprawnie i w terminie rozprowadzone przez spółdzielczy aparat dystrybucyjny.

C.K. STR. DEMOKRATYCZNEGO

W Warszawie obradował Centralny Komitet Stronnictwa Demokratycznego pod przewodnictwem Wincentego Rzymowskiego. CK powołało na swego wiceprezesa min. Jana Rabanowskiego. Surowej krytyce poddano dotychczasową działalność władz centralnych stronnictwa. Uchwalono szereg wytycznych dla przeciwdziałania szkodliwym przejawom naszego życia gospodarczego, wynikającym z paniki wywołanej w sektorze inicjatywy prywatnej przez wrogie elementy. Położono szczególny nacisk na zwalczanie paniki właśnie przez Stronnictwo Demokratyczne. W skład Komitetu Politycznego Stronnictwa powołano — Rzymowskiego, Rabanowskiego, Barcikowskiego, Chajna, Arczyńskiego, Jodłowskiego i Wysockiego. Ponadto jednogłośnie wykluczono ze Stronnictwa za działalność wymierzoną przeciwko Państwu i Stronnictwu Włodzimierza Lechowicza, b. ministra Aprowizacji.

WSPÓLNY DZIENNIK

NA Wybrzeżu nastąpiła unifikacja dwóch pism codziennych „Kuriera Morskiego" organu PPS oraz „Głosu Wybrzeża" organu PPR w jedno pismo pt. „Głos Wybrzeża", jako wspólnego organu komitetów wojewódzkich obu partii.

WYKONANIE PLANÓW PRODUKCYJNYCH

CORAZ więcej zakładów i zjednoczeń przemysłowych melduje Ministrowi Przemysłu wykonanie planu rocznego przewidzianego na 1948. Pierwszą kopalnią, która wydobyła zaplanowaną ilość 623,740 ton węgla jest kopalnia „Karol" w Orzegowie. Również wykonała roczny plan największa huta w Polsce — huta „POKÓJ". W przemyśle włókienniczym 6 spośród 29 zakładów wykonało swą produkcję przewidzianą na bieżący rok.

WYROK NA CZĘSTOCHOWSKICH KOLLABORACJONISTÓW

SĄD ogłosił wyrok na dziennikarzy - kollaboracjonistów pracujących w szmatławcu „Nowy Kurier Częstochowski". Homana skazano na karę śmierci. Józefa Stanisza na dożywotnie więzienie, Zdzisława Stanisza na 15 lat więzienia, Mróz i Jeliński otrzymali po 10 lat więzienia.Starostecki — 8 lat więzienia, Henryk Jucha — 4 lata, Janina Tomza — 3 lata. Są to wyroki bardzo surowe, ale jakże zasłużone dla ludzi, którzy wykorzystywali płaszczyk „katolicyzmu", by tym łatwiej móc oszukiwać ludność polską.

CIEKAWA STATYSTYKA

WEDŁUG ostatnich danych Związek Samopomocy Chłopskiej liczy półtora miliona członków.

Procentowy skład członków przedstawia się następująco:

Bezrolnych — 7,5 proc., posiadających gospodarstwa do 2 ha — 17,5 proc., od 2 ha do 5 ha — 26,3 proc., od 5 do 10 ha — 27,9 proc., od 10 do 20 ha — 11,1 proc., ponad 20 ha — 1,6 proc. oraz innych, jak rzemieślników, chałupników itp. — 8,1 proc.

Podczas łamania numeru...

1) Wykonały roczne plany produkcyjne następujące przemysły: cementowy, hutniczy, włókienniczy, Stocznie Polskie, „Polska Żegluga na Odrze" (tak w przeładunku jak w przewodzie) oraz indywidualnie szereg zakładów należących do rozmaitych gałęzi przemysłowych (np. Fabryka Związków Azotowych w Mościcach).

2) Rozpoczął się Tydzień Przyjaźni Polsko Węgierskiej.

3) Ogłoszono wyrok w procesie Pużaka i tow. Zgodnie z intencją prokuratora, iż siła Państwa Ludowego pozwala na łagodne wymiary kar — sąd orzekł wyroki niższe jeszcze, niż postulował to prokurator. Wobec zastosowania wobec wszystkich oskarżonych amnestii, zmiejszył się każdemu wyrok o lat 5 — wobec czego otrzymali: Pużak i Szturm de Sztrem po 5 lat więzienia. Krawczyk i Dzięgielewski po 4.5 lata więzienia. Cohn i Misiorowski wyszli na wolność od razu. Amnestię zastosowano, gdyż czyny przestępcze oskarżonych nie wyszły poza jesień 1946 r.

4) W Dunkierce rząd Francuski użył przeciwko strajkującym wojska i czołgów.

5) Wobec wyjazdu Marshalla do USA Truman mianował Dullesa (republikanina) urzędującym przewodniczącym delegacji USA do ONZ.

6) Prokurator wojskowy zażądał od Sejmu wydania posła Włodzimierza Lechowicza, oskarżonego widać o działalność antypaństwową.

7) Zgromadzenie Generalne ONZ przyjęło jednomyślnie rezolucję polską w sprawie obszarów powierniczych.

7) Wicemin. spraw zagranicznych W. Brytanii oświadczył, iż Wielka Brytania ma zamiar wypowiedzieć polsko-brytyjski traktat o wzajemnej pomocy z dn. 25.VIII.39, wobec „zmienionej ogólnej sytuacji".

W świecie

IRLANDIA

17 LISTOPADA (jeszcze jedna historyczna data w dziejach Imperium Brytyjskiego) parlament irlandzki jednogłośnie uchwalił całkowitą niezależność republiki irlandzkiej od korony brytyjskiej, a tym samym Irlandia przestała de nomine — de facto przestała już dawno być częścią Imperium Brytyjskiego. Ustawa znosi ostatecznie prawo z r. 1936, na podstawie którego Wielka Brytania reprezentowała na zewnątrz interesy rządu irlandzkiego. Ustawa zatwierdziła też ostatecznie nazwę „Republiki Irlandzkiej". W przeddzień zerwania rząd brytyjski ostrzegł w specjalnej nocie, że w razie powzięcia tej uchwały Irlandia nie będzie mogła korzystać z przywilejów handlowych przysługujących dominiom brytyjskim. Decyzja Irlandii jest wprost proporcjonalna do upadku znaczenia międzynarodowego Anglii. Irlandia zaryzykowała krok polityczny tak doniosły, nie obawiając się widocznie sankcji gospodarczych ze strony Wielkiej Brytanii. Jest rzeczą niezwykle ciekawą, jak dążnościom całkującym, które przenikają dziś świat cały, równocześnie towarzyszą ostatnie akty całkowitych wyzwoleń narodowych.

FRANCJA

NAPIĘCIE sytuacji strajkowej — a w związku z tym i politycznej — we Francji nie maleje, lecz wzrasta. Wobec zwycięstwa grup prawicowych i centrowych w wyborach do Rady Republiki rząd francuski niezwykle mocno wystąpił przeciw żądaniom robotników. Min. spraw wewnętrznych socjalista Jules Moch zapowiedział w parlamencie, iż rząd zamierza w walce ze strajkami zgłosić ustawę wprowadzającą ograniczenie szeregu przywilejów i praw konstytucyjnych. Nowa ustawa przewiduje zniesienie nietykalności poselskiej dla deputowanych komunistycznych oraz 5-letnie kary więzienia za organizowanie i udział w strajkach. Przy referowaniu projektu Moch powtórzył raz jeszcze swe „rewelacje" o rzekomej działalności strajkowej „Kominformu", oraz oświadczył, iż sumy zbierane w całym świecie na pomoc robotnikom strajkującym, a przekazywane oficjalnie przez banki są ukrytą formą subwencjonowania strajków przez „pewne rządy zagraniczne". Podał on do wiadomości, iż w związku z akcją przeciwstrajkową aresztowano 1.041 osób, w tej liczbie 117 cudzoziemców, przeważnie Polaków i Włochów. Z tej liczby skazano 317 osób, a wydalono 25 cudzoziemców. W związku z mową i zapowiedziami Mocha CGT (francuskie CKZZ) wezwało Francuzów do masowych strajków protestacyjnych. Strajk ten winien być bezterminowy. Wezwanie CGT podjął Związek Robotników Portowych.

Wątpliwym jest, czy wobec zaognienia się sytuacji wewnętrznej i personalnej, rząd francuski zdobędzie się na podjęcie oferty Thoreza utworzenia rządu jedności narodowej. Raczej liczyć się należy z nowym kryzysem rządowym, (wystąpienie ministrów MRP zostało zażegnane w ostatniej chwili), który doprowadzi w konsekwencji do ogarnięcia władzy przez de Gaulla, z którym już premier Queuille jest w pewnym kontakcie

CHINY

WOJSKA armii ludowej prą naprzód w niepowstrzymanym marszu. Przeszły już one granicę Mandżurii i wkroczyły do Chin Północno - Wschodnich, gdzie na drodze do Nankinu zdobyły twierdzę Suczou. Przy okazji wpadły w ręce armii ludowej ogromne ilości jeńców i sprzętu wojennego, przeważnie pochodzenia amerykańskiego. W związku z kryzysem rządowym, jaki wybuchł w Chinach Kuomintangu kursują najrozmaitsze plotki, ukazujące możliwość politycznego kompromisu — po usunięciu się Czang-Kai-Szeka — między Kuomintangiem a Chinami Ludowymi. Plotki te nie wydają się mieć podstaw. USA rząd jest zdezorientowany co do dalszej pomocy Chinom, gdyż reżim obecny, jak stwierdzają liczni sprawozdawcy kompletnie zdemoralizowany przekupstwem, nie jest w stanie utrzymać się przy władzy. Prasa amerykańska po raz pierwszy wyraziła swe obawy na temat zmian, jakie klęska Kuomintangu może spowodować w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, gdzie Chiny zasiadają jako jedno z 5 mocarstw. Paryski korespondent „New York Post" pisze, że w wypadku przekształcenia się Chin w republikę ludowo - demokratyczną, Indie stałyby się bardziej lewicowe (takie były i nasze przewidywania — patrz „Dziś i Jutro" nr 46). Francja musiałaby zmienić swą politykę wobec Indochin, to samo Holandia w Indonezji, a Stany Zjednoczone na Korei i wobec całej w ogóle Azji.

Chiny mają już za sobą kilkunastoletnią wojnę domową i okupację japońską. Gospodarczo są zrujnowane zupełnie. Nawet dla 400 milionowego narodu oznacza to krańcowe wyczerpanie jego zasobów biologicznych. Przedłużenie wojny domowej będzie przedłużaniem cierpień szerokich mas ludności cywilnej. Należy sobie życzyć, a raczej życzyć Chinom, by możliwie najprędzej zwyciężała tam ta strona, która w tej chwili wydaje się być silniejszą, by zwyciężyły Chiny Ludowe i by pokój stał się udziałem tego znękanego narodu.

ONZ

OBYŁO się głosowanie w łonie Komisji Politycznej ONZ nad zgłoszoną przez ZSRR rezolucją, żądającą zredukowania sił zbrojnych wielkich mocarstw o 1/3 oraz wprowadzenie zakazu używania bomby atomowej. Całość rezolucji radzieckiej została odrzucona 36 głosami przeciwko 6, przy 7 powstrzymujących się, do których należały państwa arabskie Bliskiego Wschodu. Następnie głosowano nad rezolucją belgijską — (w gruncie rzeczy werbalną i nic nie znaczącą) w sprawie ustanowienia kontroli międzynarodowej, mającej prawo otrzymywania i publikowania informacji, dotyczących sił zbrojnych i zbrojeń członków ONZ. Rezolucję tę zaakceptowało 40 państw, sprzeciwiło się jej 6 państw; 1 wstrzymało się od głosu.

Odrzucona również została polska rezolucja rozbrojeniowa.

Evatt jako przewodniczący obecnego Zgromadzenia ONZ, oraz Trygve Lie zwrócili się do Stalina, Trumana, Attleego i Queuille'a o podjęcie bezpośredniej akcji, celem rozwiązania zagadnienia berlińskiego, co mogło otworzyć drogę do szybkiego podjęcia rokowań w sprawie traktatów pokojowych z Japonią, Niemcami i Austrią. Rząd ZSRR ustosunkował się pozytywnie do tego apelu i stwierdził, iż gotów jest prowadzić pertraktacje w sprawie Berlina, zgodne jednak z umową poczdamską. Natomiast trzy mocarstwa zachodnie oświadczyły się za pozostawieniem nadal sprawy Berlina do rozstrzygnięcia Radzie Bezpieczeństwa.

KANADA

PO 24 latach sprawowania obowiązków premiera Kanady, ustąpił z tego stanowiska Mackenzie King, przekazując swój urząd dotychczasowemu ministrowi spraw zagranicznych Luis-Saint Laurent, który złożeniem przysięgi na ręce gubernatora Kanady, marszałka Alexandra, potwierdził łączność tego dominium z koroną brytyjską.

ANGLIA

WIELKA BRYTANIA swoiście kroczy ku socjalizmowi. Z jednej strony Izba Gmin uchwaliła 372 głosami przeciwko 211 nacjonalizację przemysłu hutniczego. Z drugiej strony rząd Labour Party uznał, iż socjalistyczny premier nie powinien uczestniczyć przy narodzinach następcy tronu — co dotychczas było w obyczaju — i wobec tego ks. Elżbieta powiła syna, następcę tronu, bez asysty premiera Attleego.

Jan Dobraczyński

Ewangeliczna powieść

Są książki, bez których w pewnych chwilach po prostu nie można się obejść. Kiedy jestem zmęczony i smutny, kiedy na dworze jest bardzo mokro, pozwalam sobie na sięgnięcie po książkę, która wiem, że przywróci mi radość życia. Zwykle tą książką jest „Klub Pikwicka" lub „Napoleon z Notting - Hill". W najcięższych dniach lat konspiracji, gdy czuło się po prostu skradające się niebezpieczeństwo, uzyskiwałem równowagę, czytając „Odysseę" lub pochłaniając — jedną za drugą — powieści Conrada. Myślę, że tak jest z każdym i każdy ma swoją książkę na „szarą godzinę", i że to — właśnie to — jest największą wartością literatury pięknej: zdolność odbudowywania wewnętrznych sił człowieka. W Polsce ostatnio stało się modne mówienie o literaturze dwóch, czy trzech klas. Kisielewski nazwał to — o ile nie przekręcam — literaturą twórczą i literaturą popularną. Dla mnie literatura dzieli się na książki, które z większą lub mniejszą przyjemnością raz jeden przeczytam i na książki, które pozostają w mojej bibliotece na „właściwą chwilę".

Do nich przede wszystkim należą cztery małe tomiki — złączone zwykle razem — wyjątkowa powieść, której czas czytania jest zawsze aktualny. Oczywiście to nie jest tylko powieść. Nawet z pewnym lękiem nazywam ją powieścią. W pojęciu powieści zawiera się zawsze zapowiedź fikcji, życia urojonego. To, co znajdujemy w tej dziwnej książeczce, jest Prawdą — Prawdą człowieka — historią żywą, odmierzoną i odważoną przez czterech ludzi, świadomych tego, że na każde ich kłamstwo czyhać będzie — w ciągu stuleci — wielu ludzi i wielu dużo dać będzie chciało, by można było na kłamstwie złapać czterech autorów. Ale czterej autorzy byli ludźmi naiwnie prostymi, którym obce było „przyfryzowywanie" prawdy na użytek sławy i sensacji. Byli to ludzie, którym pisanie szło opornie, nawykli byli bowiem do innej pracy. Nie jest pewne, który z nich był pierwszy: ten poborca myta na państwowej drodze, mały urzędnik wysługujący się okupantowi, czy ów judejski czupurny chłopak, który w wiosenną noc obudzony zgiełkiem, wybiegł na drogę, nakryty tylko prześcieradłem. Trzecim z nich jest na pewno lekarz — Grek ze zdemoralizowanej Antiochii, jeden z tych, którzy składali przysięgę Apollinowi, Eskulapowi, Hygei i Penakei, czwartym — rybak galilejski z nad jeziora Kinereth, mieszkaniec Kafarnaum lub Betsaidy, lecz stroniący od spoganiałej Tyberiady.

Ci czterej ludzie napisali w odstępie około 40-tu lat swoje książki. Opisali w nich jedną i tę samą historię, historię błahą, jeśli się na nią spojrzy w perspektywie rzymskiego imperium, dokonaną gdzieś na partyjskim pograniczu, na pasie ziemi, nie dłuższym niż 200 km, w okresie nie przekraczającym trzech lat. O ileż uboższy temat niż epopea morza Śródziemnego — „Odyssea" niż egzotyczne „Podróże Guliwera", czy „Przygody Robinsona Kruzoe"! Ale naiwni autorzy mieli świadomość, że ich historia przerośnie płat ziemi na pograniczu partyjskim, przerośnie morze Śródziemne i imperium rzymskie — stanie się osią historii świata. Dbali więc o to, aby ich słowa zawierały całą prawdę i tylko prawdę. Prawdę nie tylko historycznego faktu. Prawdę człowieka także. I to sprawiło, że ich książki — poza swym znaczeniem historycznym — poza setką innych jeszcze znaczeń — są powieścią. Powieścią o prawdziwym człowieku. A nawet więcej: powieścią o prawdziwych ludziach.

Człowiek, który jest głównym bohaterem ewangelicznej powieści, przerasta miarę zwykłą. Literatura świata nie tylko lubuje się analizą dusz „szarych ludzi". Ona także szuka ludzi niezwykłych. Ale bohater Ewangelii jest czymś więcej, aniżeli indywidualnością. Jest nieosiągalnym krańcem człowieczeństwa. Jest człowiekiem, jakiego nigdy przed tym nie było i nigdy nie będzie. Nie chcę sobie upraszczać sprawy i napisać wprost: był Bogiem. Gdy się patrzy na Ewangelię okiem literackim, chciałoby się znaleźć dla Chrystusa ludzką miarę. Ale i tutaj spotykamy się z niepodobieństwem, ponieważ to Jezus sam jest miarą człowieka. On — bez granic — określa granicę ludziom.

Czterej Ewangeliści stanęli wobec zadania nad siły ludzkie, ale był razem z nimi ten Piąty, bez którego pomocy ich opowieści pozostałyby tylko skromnymi wspomnieniami, jakich tysiące mamy w literaturze światowej. Dzięki Niemu Jezus — Człowiek znalazł naprawdę swe odbicie w ich książkach. To jest tylko błysk — błysk krótki i przeszywający — dostatecznie krótki, by został niespostrzeżonym przez tych, którzy go nie szukają, dostatecznie jasny, by olśnić tych, którzy go pragną. Jakżesz niewielu słów użyli Ewangeliści dla namalowania Jezusa! Lecz te skromne kilka powiedzeń „Jezus oburzył się", „Jezus ucieszył się" — wystarczyło, by stworzyć całą literaturę „dopełniającą". Nazywam tymi słowami nie wszystko, co wyrosło z Ewangelii—bo cała literatura świata jest afirmacją lub walką z Ewangelią (i dlatego cała literatura świata jest katolicka, chyba, że walczy z katolicyzmem); określam tak tylko literatury, które starały się rozszerzyć ramy Ewangelii, dopisać do niepojęcie krótkich słów Ewangelii swój komentarz, powiedzieć o Chrystusie to, co w Ewangelii powiedziane jest wstrząsająco krótko. Proza Ewangelii jest w swej treściwości po prostu nieprzyswajalna. Ludzie „rozwadniają" ją słowami, ponieważ są marnotrawcami słowa i bez wielu słów obejść się nie mogą. My, katolicy, uznajemy prawdę Ewangelii, ponieważ tego nas uczy Kościół. Ale to nie znaczy, że nie wolno nam szukać i innych dodatkowych sprawdzianów tej Prawdy. Dla mnie osobiście oczywistym dowodem boskości czterech książek jest ich język. Tylko ludzie pod natchnieniem Ducha Św. mogli napisać w ten sposób, by powiedzieć wszystko, a jednocześnie nie tylko ugasić, lecz przeciwnie pobudzić pragnienie mówienia o Chrystusie. Ewangelie są zarzewiem pożaru. Z nich narodziły się setki apokryfów starożytnych, misteriów i widowisk średniowiecza. Dzięki nim powstawały rzeczy wielkie i małego formatu. Naiwniutki „Ben - Hur" Wallace, a i „Storia di Christo", czy „Ilt testimonii della Passione" Papiniego. Rzeczy prawdziwe i nawet nieprawdziwe. Ponure, jansenizmem trącące „Vie de Jezus" Mauriaka, dziwacznie kolorowy, niekatolicki i niewyzwolony z legend i pseudokrytycznych badań „Jezus Nieznany" Mereżkowskiego, nieprawdziwe, zbudowane z dowolnie dobieranych fragmentów — a mimo to umiejące czarować — „Vie de Jezus" Renana.

Jeśli są godziny, które potrzebują swojej książki, to każda godzina naszego życia potrzebuje Ewangelii. Minęły szczęśliwe czasy, kiedy to nie polecało się czytania Nowego Testamentu, jak miną czasy (słusznie o tym pisze T. Kordyasz w swym wstrząsającym „Zakonie Miłości") rozdawania Przenajświętszego Sakramentu w pewnych tylko godzinach — co sprawia, że niewielu może Go codziennie pożywać. Jeśli język Ewangelii wymaga komentarza, to każdy z nas w każdej chwili jest powołany, by w każdej chwili ten komentarz tworzyć. Całe życie katolika winno być komentarzem Ewangelii. Każde słowo napisane przez piszącego katolika musi wywodzić się z Ewangelii i do Ewangelii prowadzić. My, pisarze katolicy — tak mi się zdaje — mamy jedno tylko zadanie przed sobą: doprowadzić ludzi do Ewangelii. Losem naszych powieści, dramatów, poematów, czy nowel — jest oświetlić Prawdę Nowego Testamentu — a potem zrobiwszy swoje — zgasnąć. My nie piszemy dla wieków. Dla wieków została napisana Ewangelia — wieczny ferment świata. My tylko mamy prostować drogi przed Ewangelią. Jeśli udało się nam choć jednego człowieka doprowadzić do Ewangelii, nie szkoda, by zostały zapomniane nasze książki. One są tylko przekładem Ewangelii na dzisiejszy język. Jeśli język się zmieni, nasz przekład pójdzie w zapomnienie. To nieważne. Ważna jest Ewangelia.

I ważne jest, by Ewangelia była czytana. Większość z nas wyobraża sobie, że wysłuchawszy fragmentu odczytanego w niedzielę z ambony zna już Ewangelię. To złudzenie. Ewangelie są książką dziwną. Im dłużej ją czytamy, tym więcej odnajdujemy w niej rzeczy nowych. Po przeczytaniu tekstu Nowego Testamentu dwa razy — sądzimy, że już Ewangelię znamy. Po przeczytaniu go sto razy — czujemy, że musimy przeczytać po raz sto pierwszy, bo inaczej nie znajdziemy odpowiedzi na cisnące się pytania. Czytając Ewangelię po raz drugi i trzeci — robimy to w poczuciu wyrozumowanej potrzeby, ale ze świadomością jakby lekkiego znudzenia. Przeczytajmy sto razy, a za sto pierwszym odłożymy dla niej najciekawszą książkę. Ewangelia przez długi czas jest dla nas utworem pewnej epoki. Nawet czytając ją w przekładzie odkrywamy odrębne style czterech autorów: apologetyczny ton Mateusza, niecierpliwy, śpieszny, skracający opis, a pełen dotykalnej prawdziwości styl Piotra, piszącego piórem Marka, wyczerpujący, dokładny, literacko wykończony język Łukasza, czy też może mówiącego poprzez Łukasza Pawła, wreszcie dramatyczny, pełen przenośni i cytat opis Jana. Potem — spoza czasu poczyna spoglądać na nas wieczność. Zwolna ujawnia się nam stała aktualność Ewangelii. Wiemy, że nie tylko raz żyli Saduceusze - kapłani i faryzeusze, doktorzy, że nie jeden był na świecie Piłat, nie jeden Judasz, nie jeden Piotr i nie jeden Tomasz. Ludzie Ewangelii są tak żywymi ludźmi, że odnaleźć ich możemy zawsze między nami. Odnaleźć ich także możemy w sobie. Każdy z nas był niedowiarkiem - saduceuszem, zakłamanym faryzeuszem, tchórzem - Piłatem, zdrajcą — Judaszem, zapominalskim Piotrem, niewiernym Tomaszem. Ewangelia mówi do nas, mówi zawsze. Wszystko, co chcemy — potrafimy w niej dla siebie znaleźć. Wszystko poza chwałą. Jeśli bowiem chcemy być dumni z naszej wiedzy o Ewangelii — oślepniemy. Będziemy cytowali teksty — ale nie będziemy ich rozumieli. Nauczymy się na pamięć czterech ksiąg — i to nam nic nie da. Znawców Ewangelii jak Jules Sorel znaleźć można także wśród katolików. „Dlatego mówią do nich w przypowieściach, że patrząc nie widzą, a słuchając nie słyszą, ani rozumieją" (M. Mat. 13,13). Aby Słowo Boże dotarło do umysłu ludzkiego, musi wpierw dotrzeć do serca. I bliskość Chrystusa nie ustrzegła Jego uczniów od wzywania piorunów na odmawiające posłuchu miasta.

Ewangelię trzeba czytać. Trzeba mieć Ewangelię na swym stole, bliżej niż słownik wyrazów obcych, czy zasady pisowni. Trzeba nauczyć się zatrzymywać nad wersetem, który nagle — sto razy odczytany bez echa, za sto pierwszym olśni swoją treścią. Trzeba nauczyć się szukać w Ewangelii. To wstyd, to więcej niż wstyd, że Nowy Testament jest powszechnie czytany wśród protestantów ,sekciarzy, badaczy Pisma Świętego, a nie czytamy Go my, katolicy. My, którzy jedni mamy klucz do odnalezienia w nim Prawdy. To wstyd, że nowe tłumaczenia Ewangelii nie ukazują się u nas dostatecznie często. Po dziś dzień pokutuje wśród nas przekład ks. Wujka, piękny w swej staropolszczyźnie, nie zrozumiały już dla słuchaczy — na którego zwrotach żerują właśnie najrozmaitsi sekciarze. To nie tylko zresztą kult słowa i tradycji sprawił, że przekład ks. Wujka ciągle znajduje się w użyciu. Mamy przecież przekłady inne, nowocześniejsze: ks. Szlagowskiego, ks. Szczepańskiego, ks. Gryglewicza, ks. Dąbrowskiego. Ale my niestety lubujemy się w napuszonym słowie w koturnach, w cytowaniu zwrotów ledwie zrozumiałych dla nas samych, zaciemniających treść wersetu. U nas się mówi i przemawia, a przemawia zawsze górnolotnie, jakby nie można było rzeczy największych powiedzieć słowami prostymi, codziennymi. Nie jesteśmy prości nawet w modlitwie. Święci na próżno tłumaczą nam, że modlitwa winna być rozmową z Bogiem— rozmową prowadzoną naszym zwykłym językiem. Wolimy wygłaszać poematy. Kiedy słyszę te zwroty o „przypadaniu ustami", „korzeniu się w prochu", „żebraniu litości", uczuwam tęsknotę za surową powagą Modlitwy Pańskiej, za niezrównaną prostotą Ave, za spiżowością Credo — za tak prostą, a tak piękną modlitwą św. Klemensa rzymskiego. Zdawać by się mogło, że w chrześcijaństwie, odżył dawny właściwy pierwotnym i naturalnym religiom podział na wtajemniczonych i niewtajemniczonych, zwykłych wyznawców i pośredników między nimi i Bogiem.

Oczywiście, w Kościele zawsze będzie istniał podział na tych, którzy nauczają i na tych, którzy słuchają i Łaskę Sakramentów tylko przyjmują, ale wydaje mi się, że podział ten powinien istnieć tylko tak daleko, jak daleko istnieć musi. Nie wolno go zmniejszać, ale także nie wolno go powiększać, spowiednikiem może być tylko ksiądz, głosicielem Ewangelii powinien być każdy katolik. Jest coś niepokojącego w niechęci, jaką spotykam wśród starszego pokolenia niektórych przedstawicieli duchowieństwa wobec świeckich, chcących mówić i pisać o prawdzie Ewangelii. Mówi się: piszcie o literaturze, o sztuce, o polityce, o ekonomii — po co macie pisać o Ewangelii? To naprawdę zastanawiające. We Francji i Włoszech ten przesąd został już przezwyciężony. Gdy ukazały się nowe wydania Ewangelii we Włoszech, przedmowę do nich napisał Papini, we Francji— Claudel. Warto zwrócić uwagę, że egzegeza Pisma Św. dokonana przez Claudela poszła o wiele dalej i okazała się bardziej twórcza, niż badania, niż badania francuskich teologów - biblistów. Najwięksi artyści zostali dopuszczeni do mówienia przed ludźmi z kościelnym tytułem.

Ewangelia powinna być czytana. Temu służą przekłady. W tej chwili mamy w Polsce dwa tłumaczenia: jedno dokonane z Wulgaty przez ks. prof. Dąbrowskiego i wydane przez Albertinum — tłumaczenie nowoczesne, zachowujące wiele z tak cenionej u nas majestatyczności; drugie dokonane z greckiego przez ks. F. Gryglewicza, a wydane przez Księgarnię św. Jacka — tłumaczenie, jak na stosunki polskie pionierskie, polegające na uproszczeniu języka, choć nie zawsze w swym unowocześnieniu konsekwentne. Oba tłumaczenia doskonale uzupełniają się: pierwsze może znakomicie służyć pracy w Kościele, gdzie nie można przejść od razu od archaicznego stylu Wujka, do języka zwykłego, drugie — czytaniu indywidualnemu.

Są chwile kiedy najciekawsza książka zawodzi. Ewangelie nie zawodzą nigdy. Mówią czasami głośno, wstrząsając, częściej jednak cicho, skrycie, „bez szelestu słów". Ale gdzieś, kiedyś pragniemy czuć wagą przeczytanych wersetów. Gdzieś, kiedyś w decydującej chwili naszego życia, nie zabraknie nam właściwego słowa. My — pokolenie najdotkliwszych doświadczeń — wiemy, że niebo i ziemia naszego życia mogą przeminąć — tylko słowa Ewangelii nie przeminą nigdy.

Jan Dobraczyński

Nowość

W. Deeping

„MAŁŻEŃSTWO Z PRZEZNACZENIA"

str. 244 zł. 600.–

Do nabycia we wszystkich księgarniach

poleca

KSIĘGARNIA ZDZISŁAW GUSTOWSKI

Poznań Wielka 10

SZTUKA LUDOWA

— Rzuca mi się w oczy przede wszystkim ekspresja. Widać, że rzeźbiarz chce coś powiedzieć gestem czy wyrazem twarzy swojej pracy.

— Tak. Dlatego temat gra tu po ważną rolę. Artysta wszelkimi siłami chce z materiału wywołać kształt, który by odzwierciedlił tę emocję, jaką w nim samym wzbudził temat.

— Gdyby jednak nie miał talen tu, nie powstałoby tak wzruszające dzieło, z tyloma smaczkami formal nymi.

— Ależ przy talencie powstają one same! Pokonywanie oporu two rzywa i wykorzystanie jego charak teru „mimochodem", w upornym odgrzebywaniu w materiale swej wizji daje w rezultacie ów podziwiany smak prymitywu, który porywa, bo jest szczery.

— Nie mniej temat i tu jest tylko podnietą plastyczną.

— Nie przeczę. Chcę tylko powie dzieć, że im silniej temat poruszy wyobraźnię twórcy, im szersze i głębsze pokłady jego duchowości porwie i zaangażuje w pracę, tym dzieło jest pełniejsze.

— Chce pan powiedzieć, że treść plastyczna powstaje w nadzwyczaj nym wysiłku człowieka utalentowa nego, w wysiłku wyrażenia za wszel ką cenę przeżywanej wewnątrz treś ci tematycznej.

— Tak.

— W tym wypadku im głębsza treść duchowa, tym artystyczniej sza powinna być forma.

— Przypuszczam, że tak jest. Czy fakt tematyki religijnej w sztuce ludowej, i u początków prawie każ dej wielkiej kultury plastycznej nie jest wymowny?

— Owszem, w tym sensie, że dla tych ludzi czynnik religijny jest najwyższą podnietą wewnętrzną, jaką znają. Ale wyrafinowane kultu ry, znajdujące szersze tereny te matyczne, porzucają tę podnietę ducha, nie tracąc nic z artystyczno ści formy.

— Powiedziała pani: „szersze tereny". Ale nie głębsze. Istotnie tak się dzieje. Dowodzi to jednak tylko spłycenia postawy religijnej, mniej szej intensywności przeżyć tego ty pu, a więc i nieprzydatności ich jako podniety twórczej. Jedno mnie tylko zastanawia, że schyłko wa, przerafinowana kultura arty styczna XX wieku podnieca się „smaczkami", wzorowanymi na pry mitywach rodzimych lub egzotycz nych. Coś nas urzeka, coś zniewala w tych dziełach.

— Właśnie chyba ta szczerość i prawda przeżyta przy tworzeniu, o których mówiliśmy poprzednio. Ale wróćmy do rzeźb ludowych. Czy zwrócił pan uwagę, że przy ca łej indywidualizującej ekspresji, szczególnie w wyrazie psychicznym i przy niepowtarzalnych wartoś ciach formalnych, zwłaszcza faktu ry, jest w tych rzeźbach jakaś pow szechna maniera.

— Maniera?

— Może źle to nazwałam. Ra czej kilka wspólnych typów tema tycznych: Chrystus frasobliwy, Chrystus upadający pod krzyżem, Pieta, święty Jan. Jeśli coś odbiega od typowości w tematyce, to raczej pod wpływem sztuki stylowej, albo też jest odskokiem w kierunku ja kiegoś prymitywu prehistoryczne go. Może to nie jest reguła, ale to spostrzeżenie nasuwa mi podejrze nia, że wbrew temu, co pan mówił, nie treść religijna jest dla artysty ludowego ważna, a przeżycia emo cjonalne, jakie pod jej pretekstem może wypowiedzieć.

— Nie pod pretekstem, a raczej w jej obrębie.

— Niech będzie. Ale musi pan przyznać: w obrębie ubogiej a typo wej tematyki religijnej mamy bo gactwo przeżyć emocjonalnych wyrażonych indywidualnie, niepow tarzalnie.

— Owszem przyznaję. Dodam nawet, że i te przeżycia emocjonal ne zamykają się w kręgu cierpienia tylko i bezbrzeżnego smutku. O bo gactwie ich odcieni decyduje jed nak głębia tego przeżycia czysto ludzkiego i ona to potwierdza mo je przypuszczenia o ważności w sztuce ludowej tematyki religijnej, która odpowiednio silnie przeżyta jest jednak najwyższą podnietą ar tystyczną dla ludzi wierzących.

— No, dobrze, silnie czy nie sil nie, w rezultacie chodzi tu tylko o podnietę emocjonalną.

— Oczywiście, bo na uczuciu opiera się twórczość artystyczna. Bez niego pozostanie tylko estetyzo wanie.

Ale nich pani zwróci uwagę na jeszcze jeden ważny czynnik w rzeź bie ludowej. Na efekt, jaki powsta je przy usilnym a nieporadnym technicznie pokonywaniu materiału — drzewa czy kamienia.

— Właśnie zauważyłam to przy rozpatrywaniu faktury. Myślę, że jej niepowtarzalności sprzyja brak wyszkolenia techniczno-rzeźbiar skiego, ubóstwo środków, które nie pozwala na naśladownictwo formy.

Marek Kononowicz
Bożena Marynowska

WOJCIECH BĄK

Listy

1.

Ja z nieba otrzymuję listy,
Bo liść, który na stół mi spadł,
To list jest z nieba, który przyniósł,
Aniołem krążąc, lipca wiatr.

Nie wyrzekł nic, o nic nie pytał,
Lecz rzucił tę wysoką wieść —
I długo z żył i nerwów czytam
Ich tajemniczą, mądrą treść..

Zygzaki te pisała ręka
Co sieje codzień gwiazdy w noc —
Jest w nich chłód gwiazd i słońca piękno
I ta, co mnie ożywia, Moc.

Jakbym się znużyć mógł czytaniem
Gdy śledzę w kształcie czystą Myśl,
Co nocą rządzi i świtaniem,
Z brózd woła kłos, z pni wzywa liść...

I czytam, czytam. Mądry liście,
Jak piękny kształt twój, barwa, woń...
I chwalę słońce, wielbię liście
I wielką kształtującą Dłoń!

2.

To wszystko nie jest takie proste,
Jak mi tłumaczą mądrzy ludzie —
Bo kiedy pogłaskałem sosnę,
Brat sosny we mnie się obudził.

Jakby świat cały przedłużeniem
Był tylko wielkim mego ciała —
Obłoki moim są ramieniem,
Trawa mym szeptem zaszumiała.

Nie będąc wiatrem, szumię w drzewach,
Gałęzie tchem się mym unoszą —
Ten kamień, który się wygrzewa,
Czułą przenika mnie rozkoszą.

Czuję: kamienny żar mnie grzeje,
Lipcową paląc mnie spiekotą —
I Bóg przez wszystkie rzeczy wieje
I pełno wkoło Jego lotu!

Jestem w Nim cały zanurzony,
Pełno Go w krwi mej i oddechu —
On Wielki, Groźny, Oddalony —
I we mnie płynie i w trawo śmiechu.

On Obcy i Nieogarniony
Przez wszystko wieje niewstrzymany —
I pachnie w sosnach i dech Jego
Przenoszą szumem bzy, kasztany...

On Wielki, Groźny, Niepojęty
Przenika drzewa, wiatr i ciało —
I Nieskończonym, Nieobjętym
Ze wszystkich rzeczy zaszumiało...

3.

Bo są godziny jak drabiny,
Po których schodzą aniołowie —
I wtedy światło w wszystkich rzeczach
I wtedy mądry spokój w słowie.

I rzeczy stają się prawdziwe
Jakby zbudzone czułą ręką —
Gdy muru dotknę — nie ma muru
Lecz pod palcami żywo piękno.

Przede mną jest ulica ciasna,
Gdzie miasto łączy się z polami...
Latarnie są tu spokrewnione
Z sosnami, trawą, obłokami.

Jednopiętrowe kamienice
Nie bramy mają lecz ramiona —
Wieża z zegarem — to dłoń dobra
Niebo witając, podniesiona...

Nocą — obmyte z codzienności —
Gwiazdy na niebie czystym stoją
Znaki harmonii i miłości,
Godła mądrości i pokoju.

I jakby mi zmieniono oczy
I dano nowy wzrok niewinny
Witam zachwytem cienie nocy —
I uśmiech znowu mam dziecinny...

I słuch mam nowy. A tym słuchem
Dźwięk niesłyszalny jest słyszany —
I mówią do mnie drzewa ulic
I szepcą ze mną domów ściany...

I dotyk nowy mam, bo kiedy
Wiatru dotknąłem ręką trwogi —
Uczułem — to nie wiatr przepływa —
To wieje Bogiem!

4.

Nie chciałbym nigdy stamtąd wracać,
Lecz muszę. Tam jest ma ojczyzna —
I muszę wrócić, by wieść przynieść
I słowem wielki zachwyt wyznać.

Wyznaję! Niechaj inni przeczą,
Ja głoszę wielkie objawienie —
Gdy Boga dano wszystkim rzeczom
I świt Nim lśni i nocy cienie.

Gdy mądry Ład otwarł się oczom
W czasie nieładu, niepokoju —
I wszystkie rzeczy równe gwiazdom
Pogodnie zamyślone stoją.

Skłóconym, nienawistnym, mściwym —
Jak list przynoszę w wiek chaosu —
Nowinę — witającą ludzi —
O ładzie ziemi i niebiosów.

Dokoła tyle płaczu ruin,
A ja przynoszę pokój w słowie —
Z tych godzin, co są jak drabiny,
Po których schodzą aniołowie!

MACIEJ J. KONONOWOWICZ

Hucułka

Las szumi. Z gór się zsuwa
Miękki cień — lawiną —
Póki jasno, póki widno
Szukaj za dziewczyną.
Oj, sidaj, sidaj rida,
Sidaj ridaj dana —
Noc się zwali, spadną gwiazdy —
Daleko do rana...

Oj, ciężko i gorąco
W kożuchu baranim —
Aleś przecie nie ostatni
Między mołojcami.
Oj, sidaj, sidaj rida,
Sidaj ridaj dana —
Gdy dziewczynę wplączesz w taniec
Odtają kolana —

Jak sprężyna, jak pręt stali
Gną się i prostują —
Lecą drzazgi — a z oddali
Góry odkrzykują:
Oj, sidaj, sidaj rida,
Sidaj ridaj dana,
Kotra fajno mołodica
To to moja mama...

Już się zaczął wir szalony,
Już warkocze w różne strony,
Już się usta, oczy, wstęgi
Poszczepiały w barwne kręgi —
Wir i obłęd — oddech rwany —
Skaczą okna, drzwi i ściany,
Smugą wiją się ikony,
Kwiatów płomień wiatrem rwany —

Wir — wir — aż do szału,
Jak lecąca z gór lawina —
Bąk — bąk — rozkręcany —
Bicz muzyki go podcina —
Błysk — krzyk — patos dłoni —
Śrubą w górę — grzmot o ziemię!
Dziewki: precz! Starzy z drogi!
Na zapiecek i do sieni —

U-ha! Krew już gra!
Dłonie w pięści — głowy hardo —
U-ha! Grom i skra!
Gwiazdy strzelą i opadną...
O-hej! Krew się leje?
— Brzask różowy... to już dnieje...
Stygnie, zwalnia wir i szał —
Świt lawiną biegnie z skał...

Hej — hej — bledną gwiazdy —
Ocierają czoła gazdy —
Chwieją się na nogach młodzi —
Noc ich zwiodła — dzień ich zwodzi.
Rosa perli się i mieni —
Dzwonią owce po zieleni...
A dziewczyna? a dziewczyna?
— Mgłą zakryta w połoninach...
Oj, sidaj, sidaj rida,
Sidaj ridaj raty —
Budiesz mene, diwczinoczko,
Zawtra wspomynaty...

Z teki poetyckiej Władysława Jana Grabskiego

Bibliotekarz

Stanisławowi Piotrowi Koczorowskiemu. Paryż. 1925

O jednym słowie tylu ludzi już pisało,
Jedną myśl w tyle różnych rozwijało myśli,
A jednak, gdyśmy po nich w dniu dzisiejszym przyszli
Szukamy, bo tysiącznych rozwiązań — za mało...

W katalogu historii tyle wielkich spraw,
Tylu mędrców, proroków, wodzów i urzędów
I tyle wartościowych, prawdomównych błędów
Drętwieje w chłodnej ciszy bibliotecznych szaf.

Za parkanem wre miasto. Pocą się drukarnie.
Życie genialnych płodzi, a geniusze — dzieła.
Czas, epokę z miliardem ludzi w mrok zagarnie.
Epoka w Bibliotece sto półek zajęła!

Grzbiety, złocone znaki, nazwiska, kartony...
Czasem ktoś się o jakiś pierwszy tom upomni
I Pan czasami, pracą i życiem zmęczony,
Patrząc na rzędy półek — o książkach zapomni...

A gdy żal klamrę serca odemknie zdradziecko,
Gdy samotność zaciąży bezsilną udręką,
Do ksiąg się Pan przytuli, bezbronny jak dziecko
I czyste łzy obetrze zakurzaną ręką...

Rybak Islandski

Wiosenny wicher nadął żagli ostre płótno
I pognał biały statek na islandskie łowy.
Pełne morze powitał rybak pieśnią butną.
Z lądu żegnały statek obnażone głowy.

Gdy sieci ssały głębin skarbnicę rozrzutną
A dno statku obciążał każdy połów nowy,
Trwał w cierpliwym milczeniu ocean surowy
I było w wód zaciszu bezpiecznie i smutno.

Lecz jesienią, gdy statek chciał ujść długi
By złożyć cenne brzemię na brzegu Bretanii
Obudził się ocean z uśpienia niemocy.

I ledwie rybak połów swój zakończyć zdążył
Jeden z wściekłych bałwanów burzliwej litanii
Biały statek ze skarbem w mętach wód pogrążył

Roskoff. 1925.

Plaża

Skotłowało się morze. Drobnych fal tysiące
Zjawiały się i nikły w tanecznym bluzgocie.
Na brzeg sunęły wałów szeregi huczące
I ryły bruzdy w piachu zwilgotniałym złocie.

Roje bałwanów blaskiem zalewało słońce.
Prężyły się jak węże, miękkie grzbiety kocie,
Łyskały srebrną łuską i w najwyższym locie
Piuropuszami śniegu łamały się lśniące.

Zmydlony męt bluzgotał w szczelinach granitu
Sponad głazów tryskały szumiące fontanny.
Wiatr zwiewał słoną rosę w czystą dłoń błękitu.

W kabinie pan zapinał nieudolnie szelki.
W namiocie czarną kawę piły chude panny
A dzieciaki na plaży zbierały muszelki.

Les Sables d' Olonne. 1925.

Antoni Gołubiew

WOJACKI ŚPIEW

(Fragment z III części „Bolesława Chrobrego")

Pół dziesiątki z setki Przecławowej, wracało do Krosna po odwiezieniu jeńców. Woje byli pomęczeni, ostro machali od samego rana; w końcu ledwo przestawiali kulasy. Gdy ujrzeli siodło rozciągnięte wzdłuż wesoło wijącej się rzeczki, zawrócili ku chatom. Rosły tu gęsto brzozy, okrywały zwisłymi gałęziami dachy chaty — złociste liście ostro odbijało od jaskrawej zieleni mchu na strzechach. Czesn chciał wstąpić do pierwszego obejścia, gdy łykowaty Noga śmiesznie zmarszczył swój długi nos, wykrzywił się, zabuczał:

— Pomnij Czesn, nigdy nie leź do pierwszej z kraju chaty, bo tam już nie jeden przed tobą drogę wydeptał, wszystko wylizał z garnków. Jeślici dość zapachu skwarek to idź, wżdy kiej słoninę lubisz, wal, bracie, kądy insi nie doszli. I obacz na on chlew: jedna krowa w nim stanie, nie napijesz się mleka od jednej krowy. Pójdziem poszukać bogatszego obejścia.

Wit, Księńców syn, dotąd nie potrafił zżyć się z nowymi drugami. Gdy jego dziesiątki w pobliżu Kopanicy potrzaskały Welety, przedzielono Wita do Przecławowej setki; byli tam woje z Lądu, z Konina i z Koła. Wesołe chłopy, śmiałe — a jak by z lekka cudze. Odmienne pieśni śpiewali, gadali zdziebko inaczej, twardziej; zaklecia znali insze. Nieprzyjemnie i obco czuł się Wit w nowej gromadzie. Niby wspólnie śmiał się i bajał, ale czuł szczyptę zatajonej niechęci, nieprzezwyciężonej nieufności. Nie umiał się zbratać z dziesiątką. I dopiero tu...

Przy trzeciej zagrodzie Noga stanął, zabiegał dookoła małymi oczkami, po psiemu pociągał nosem, mignął okiem do towarzyszy.

— Oo, tu akurat stan dla nas, widzicie. Jak to chlew rozpadł się szeroko, całkiem baba zgarniająca zapaskę, w której nie pomieści się jej sadło, ha ha ha! I dom niemały, widać zrazu: puchnie z bogactwa kmieć. Pójdziem — ochoczo wwalili się za wrota, prawdę gadał Noga, widać to od razu: szeroko, szumnie rozsiadło się obejście.

Wit rzucił wzrokiem dokoła, aż ścisnęło go w piersi ze wzruszenia. Coś znajomego, swojskiego napływało doń, gdy tak stał i patrzył na obcą zagrodę To chyba owe brzozy u chruścianego płotu, żółte, sypiące się liście. Nie, nie tylko brzozy: całe obejście — chata stojąca nawprost wrót, na lewo w głębi obora z niskim podcieniem, pod którym leżą zwalone narzędzia; kolesa zatoczona pod daszek, wsparty na czterech słupach — wszystko jak doma. Wit stał, patrzył z zapartym tchem: zda się wraz ojciec wyjdzie przed chatę, albo Zwój, z wrzaskiem wyskoczy Malina. Nagłą, duszącą tęsknotą za swojakami ścisnęło Witowi serce — niewiedzieć co dałby, byle móc znaleźć się w Księńcowym stanie, usłyszeć swarliwą połajankę ojca, przycisnąć swoją białkę. — „Pewnie już porodziła" — zaszeptał zdrewniałymi wargami. Zza chaty wyskoczyło dwóch malców, starszy gonił młodszego, dojrzeli obcych, stanęli: gebule otwarte, w kraglych oczach zdumienie i przestrach; z wrzaskiem zawrócili do chaty. W drzwiach zjawiła się starka, policzki wisiały jej z obu stron fałdami suchej, pożółkłej skóry, brwi uniesione wysoko w niechętnym zadziwieniu; obaj chłopcy skryli się za nią, trzymając się zapaski wysadzali jasne grzywki; aż poczerwieniały im buzie z ciekawości. Pięciu wojów kiwało się przez okólnik, śmiało podeszło do chaty.

— Bywajcie w zdrowiu, babko — wesoło pozdrowił Czesn.

— W zdrowiu — odrzekła powściągliwie. — Szukacie tu, czegoście nie pogubili?

— Aa, stara maciora, tak to gości przyjmujesz? Taki to obyczaj w waszym siodle?

— Znam ja was — zamruczała baba — z chąsaście przyszli, tacy i goście z was.

— Ejże! — wykrzyknął Turkawka, jego jasne, całkiem dziewczyńskie oblicze pokraśniało strzymywanym gniewem — chciałaby ptaszka podziobać jastrzębia, ale dziób ma za krótki. Widzisz ją, stanęła w drzwiach i do środka nie puszcza' nuż nastraszą się starej i odejdą. A nas nożęta już nie niosą, machaliśmy nimi od samego ranka, zmęczyły się. Goście, czy nie goście, ale puszczajcie nas, babko.

— Wchodźcie, wchodźcie... — zaburczała stara wciąż niechętnie i usunęła się odrobinę na bok, robiąc przejście. W pięciu popchali się do chaty.

Wit wszedłszy z jasnego dnia nie zrazu nie widział, zmrużył oczy, zwolna zaczął rozróżniać przedmioty. Na sznurze wisiała spleciona z wikliny kolebka, obok niej stała wysoka, zgrabna kobieta; i znów ścisnęło w piersi ostrym bólem. Białka nie była podobna do Maliny, a jednak czymś przypominała pozostawioną doma żonę; może śmiałą, niepokorną postawą i tym uśmiechem na ustach, z jakim oglądała pięciu ciężko wwalających się wojów, odkładających sulice i tarcze, wyciągających z za pasa siekiery i rozsiadających się na długiej ławie, biegnącej wzdłuż całej wschodniej ściany domu. Znowu przemknęła Witowi dumka: „Ejże, Malina pewnie już porodziła. Może syn?..." — Niecierpliwym, chciwym krokiem podszedł woj do kobiałki, zajrzał do wnętrza. Dojrzał dwie niewidzące plamki oczu, łysą główkę, parę nóżek swawolnie brykających w pieluszkach; pochylony, zaśmiał się radosnym, pełnym ufności śmiechem. Podniósł oczy na stojącą kobietę, spotkał bystre, życzliwe spojrzenie, spytał:

— Wasz syn?

— Ee... — powiedziała ostrożnie w obawie przed Ubożem — jakiś Nieznajek — ale na twarzy pewnym siebie uśmiechem zajaśniała jej radość i duma. Białka odwróciła głowę ku ławie, przed którą baba kłóciła się z wojami o wieczerzę; słuchała chwilę, powiedziała przez śmiech:

— Nie żałujcie, świekro, może tam kto naszego Świrszcza ugości.

— To wasz... on Świrszcz — spytał Wit, chcąc jeszcze raz usłyszeć jej głos tak bardzo przypominający mu Malinę. Odpowiedziała wciąż patrząc na starą:

— Mój... Z powodem pojechał. — I znów do świekry:

— Dajcie no im. Dobrze, kiej proszą, nie sami biorą. A wżdy idą nad Odrę zatrzymać cudzą chąsę, nie puścić jej do nas — w tejże chwili Wit pochylony nad kolebką pojął, po co się on tu tłucze, w dalekim, obcym kraju, wśród nieswojskich towarzyszy dziesiątki. To ta chata i całe obejście, tak podobne do ojcowego, i ta baba przypominająca Malinę, i ten niedawno narodzony syn — to ich miał bronić przed Sasami a Weletami; zdali mu się ci obcy ludzie bliscy i swoi — jakże to można pozwolić, by obca chąsa stratowała siodło nad wesołą rzeczką, między białymi pniami złotych brzóz. — „Ejże" — przemknęło mu przez głowę — „to jakbym swoich bronił." Babka kiwała głową, aż skóra się jej trzęsła na policzkach, jazgotała:

— Tacy to obrońcy, znam ja ich, włóczykijów. Tłuką się tu po chatach, miast wojować, milej im mleko spijać a garnki lizać, niźli z Sasami się bić... — tarczownicy kładli się na ławie ze śmiechu, tylko najmłodszy Turkawka czerwieniał z gniewu, wykrzykiwał:

— Stara a durna, isty chochoł na polu. Głupio gadasz: tłuką się. Wżdy my niewolnych gnali do Poznania, nynie wracamy, a ta plaska jęzorem, aż w uszach wierci, tfu! — Świrszczowa wmieszała się w kłótnię, zawołała ze śmiechem:

— Takiś młokosys, że wnukiem mógłbyś być świekry, a trzeszczysz, jakbyś kijem po płocie ciągał.

— Toć i wołają nań Turkawka — zawołał przez śmiech Noga.

— Dobrze cię nazwali. A nynie idźcie na dwór, tamok jest ławka, wraz wam jeść wyniesiem.

— Ale spać was do chaty nie puszczę — zaburczała jeszcze stara.

— I... siano tu pewnie macie, prześpim się na sianie. Widzisz ją, wronę wyliniała, jak kraka — kpinkując pchali się przez drzwi. Czesn— przechodząc — pchnął starszego chłopca palcem, powiedział:

— Bacz, wyrośniesz na woja, to ci łyżki kaszy babka pożałuje — wyszli na dwór, zasiedli na ławie stojącej pod dwoma brzozami. Zaraz też młoda wyniosła im stągiewkę kwaśnego mleka i miskę prażonego ziarna. Turkawka wsadził nos w stągiew, złapał białkę za przegub ręki, wyszczerzył zęby:

— To pewno stara zebrała całą śmietanę z mleka, tybyś nie pożałowała głodnym wojom — białka wyrwała dłoń, parsknęła wprost w oczy młodzika.

— A po co ci śmietana, zliż ją językiem z gęby. Puszek to ci się już pod nosem sypie, ale umu masz tyle, co mój Nieznajek — okręciła się i śmignęła ku domowi. Noga z gębą pełną prażuchy powiedział:

— To ci krowa, uch! A bodzie, kiej rogami.

— Żmija — syknął Turkawka między siorbnięciem a siorbnięciem. — Ale baba jak się patrzy: zwalista.

Wit jadł łapczywie, głodny był, ale nie myślał o jedzeniu, machinalnie sypał ziarno do gęby, popijał mlekiem. Ogarnęła go spokojna pewność — po raz pierwszy, odkąd Ksieniec przyjechał doń z wezwaniem do grodu. Daleko jest od swojaków, ale pierwszy raz w tym dalekim kraju połańskim poczuł się także swojakiem. Zerknął na towarzyszy — wszyscy czterej byli młodzi, zadzierżyści, śmiali — i oto tym razem Wit nie poczuł na ich widok odrazy obcości. Woje najedli się, poodpuszczali pasy, wyciągnęli nogi. Odpoczywali po całodziennym tupaniu. Słońce dopiero co zaszło, paliło się złotym pasem nad ciemną wyniosłością wzgórza. Od ziemi szedł rzeźwy chłód. Czesn przegiął się, zagadnął:

— A no, zaśpiewamy cosik?

— Ten jedno umie, by kur: piać a piać.

— A cóż?

— To zaczynaj.

Czesn odchrząknął, zaczął mocnym, czystym głosem:

Ooj Waar-to, ooo-oj Waar-to!

Wszyscy prócz Wita podchwycili:

Ty sze-rooo-oka struuu-go!

— —Eh! — zaśmiał się Noga — jednym głosem ciągniecie. Tak nie lza. Jeszcze raz.

Zaczęli znów. Zwarli się ciaśniej, oparli sobie głowy na ramionach, by dokładnie nawzajem się słyszeć, zaciągnęli czterema, zlanymi w jedno głosami:

Ooj Waar-to, ooo-ooj Waar-to!

Ty sze-rooo-oka struuu-go!

Przerwali. Echo ostro przyniosło od wzgórz wilgotny odzew:

— ...uuugo!

— Dobrze — uśmiechnął się Turkawka — teraz dalej.

Nad tooo-bą, naaaa-aad too-bą!

Zgi-nicee-my niedłuuu-go!

I znów echo odpowiedziało wyraźnie:

— ...uuugo!

Witowi poruszyło się gwałtownie w piersi. Dotychczas nie lubił tej dziwacznej piosnki: u nich — doma — inaczej śpiewano. Toteż gdy dziesiątka zaciągała tę smutną, długą pieśń, Wit stroszył się zawsze i boczył. Teraz poczuł nagłą potrzebę złączenia się z tamtymi w zwartym i głośnym półkrzyku, półśpiewie. Skoro Turkawka znów zaczął, Wit przyłączył się do śpiewania, huknął ze wszystkich sił w płucach.

Tyy miee-czu, móóó-óój miee-czu!

Ty ostreee-ee żelaa-zo!

— Dobrze — powiedział znów Turkawka, a Czesn odwrócił z uśmiechem głowę:

— Baczcie, i Wit się rozśpiewał — Wita ogarnęła niespodziewana radość z tej mocnej, nie do zerwania, więzi z drugami. Przed próg chaty wyszła Świrszczowa białka z obu starszymi synkami, zaplotła na piersi twardo toczone ramiona, słuchała. Czesn znowu zaczął:

Czy tyy wiesz, móó-óój miee-czu!
Sa-syy dooo-oo nas laa-zą!

Z „mojego" stanowiska

JUBILEUSZ

Dziś jest moda na usuwanie z języka polskiego wyrazów obco brzmiących właściwie nie wiem dla czego. Mnie się zawsze wydawało, że przyswajanie przez język rodzimy wyrazów obcych, jest wzbogacaniem własnej mowy, jeśli oczywiście nie popada się w przesadę. No ale moda jest taka i ... causa finita (przepraszam, już nie będę). Walczyłem także z modą na długie suknie, i także musiałem ustąpić... nec Hercules contra plures.

Otóż, żeby się poprawić nie będę już używał obco brzmiącego słowa „jubileusz" a zastąpię je jakimś bardziej polskim. Chyba najlepiej będzie pasować wyrażenie „radośnik". To się zresztą okaże.

A więc nasza redakcja obchodzi r a d o ś n i k z okazji trzeciej rocznicy ukazania się pierwszego numeru „Dziś i Jutro". I ja ulegam ogólnemu nastrojowi, skreślam z tytułu rubryki zbyt zobowiązujące: „Z naszego stanowiska". Dziś będę tylko wyrażał mój osobisty stosunek do nadchodzącego R a d o ś n i k a.

Kiedyś, było to już bardzo dawno temu, gdy się jeszcze ludzie interesowali takimi sprawami, przyszedł młody człowiek do starszego doświadczonego pana i zadał mu takie pytanie: czy można się podobać kobietom nie mając dużo pieniędzy, a co najmniej samochodu (kupionego choćby na raty). Starszy Pan, który nie był cynikiem, ani nawet umiarkowanym machiawelistą odpowiedział zdecydowanie: „W pana wieku tak, w moim nie. Jeśli będzie się Pan jednak zbyt długo nad tym zagadnieniem zastanawiać to straci pan szanse a pieniędzy też nie uzbiera". Trzy lata temu natomiast zebrało się paru ludzi młodych i zadało sobie dość podobne pytanie: „Czy można wydawać pismo ideowe na jakim takim poziomie, nie mając na to pieniędzy, już nie mówiąc o samochodzie". Pomni mądrej maksymy odpowiedzili chórem — „tak", ale zaraz. W ten sposób wyszedł pierwszy numer „Dziś i Jutro" dnia 25 listopada 1945 roku.

Było wiele trudności z rozwiązaniem strony praktycznej tego zagadnienia. Wysunięto różne projekty. Najcelniejszym moim zdaniem był ten, by autorzy sami wpłacali do kasy redakcyjnej honorarium za drukowanie ich prac. Odrzucono go jednak, by nie było posądzeń, że chcemy się tą drogą dorobić majątków. Zwolennicy autarkii proponowali, by pensje i wierszówki wypłacać w egzemplarzach „Dziś i Jutro", dozwalając sprzedawać je na wolnym rynku, nawet ze znaczną marżą zarobkową. Obawialiśmy się jednak spekulacji. Był wreszcie projekt, by rachunki regulować staropolskim „Bóg zapłać" ale obawialiśmy się czy urząd skarbowy zechce to uznać za źródło przychodu, z racji różnic światopoglądowych. Ostatecznie chwyciliśmy się sposobu najprostszego i starego jak świat. Pożyczyliśmy na lewo i na prawo, pożyczyliśmy od siebie na wzajem, zaciskaliśmy pasa. I ,szło. Przyszła pierwsza rocznica, przyszła druga, trzecia, powinny przyjść następne.

Nie to, żebyśmy nie płacili, cóż znowóż. Tylko w trosce o dobro współpracowników — redakcja płaciła tylko tyle ile uznawała za konieczne, by jegomość żył i pracował nadal. Życie nasze pachniało czasami cyganeria, ale cóż, to nie poetycka fantazja, ale „warunki ekonomiczne" wytwarzają ten romantyczny tryb życia.

No i jakoś „Dziś i Jutro" żyje. Wypłacać też będzie... od czasu do czasu. A jeśli się kto załamie — prowadzi się go z honorami do kartoteki, gdzie skrzętne i pracowite jak mrówki koleżanki z administracji zapisują na kontach autorskich wzrastające, coraz to efektowniejsze cyfry. Patrz bracie, jaki jesteś bogaty!

Żeby charakterystyka nasza była pełna, trzeba jeszcze dorzucić parę szczegółowszych informacji. Redaktorzy nasi dzielą się na trzy kategorie, mianowicie na tych, których nigdy nie ma, na tych którzy są stale chorzy i na tych, którzy nie mają czasu. Ta ostatnia kategoria jest najbardziej niepopularna. Prawdę mówiąc nie wiem dla czego, bo tych ostatnich można jeszcze najłatwiej zobaczyć. Zespół redakcyjny jest raczej mitologiczny nie tylko dla tego, że składa się z samych bogów i boginek, lecz i przede wszystkim dla tego, że nikt nie wie co oni tam, na Olimpie naprawdę poczynają. Ja też nie wiem. Ale starzy ludzie mówią, że podobno ich kiedyś widziano wszystkich razem obradujących. Na prawdę tak mówią!

Pozostają jeszcze autorzy, nasza „szara piechota", redakcyjne „mięso armatnie". Autorzy z kolei dzielą się na słownych (b. rzadki okaz!) nieśmiałych (b. pożądani), nieczytelnych i nieobliczalnych. Pokrewnym gatunkiem są ci, którzy wprawdzie nic nie piszą, lecz są gotowi czekać dwie godziny w kolejce do redaktora by przedstawić najnowszą metodę rozwiązania kwadratury koła, produkcji kieszonkowej bomby atomowej i parę innych podobnych ciekawostek.

Jest jeszcze jedna osoba do opisania. To Pani, Która Trzyma Klucz Od Drzwi Bez Klamki, to znaczy od pokoju redaktorskiego. Ale o niej boję się pisać, bo ten klucz, to potęga. A satyryk człowiek jak każdy inny.

A propos. Satyrycy. Mnie też, tak jak i Kisielewskiego nie zaproszono na Kongres. Martwiłem się, ale krótko.

Tylko się trochę boję jak mnie przyjmą w redakcji, jak minie „r a d o ś n i k"

tym razem

„omega".

ŚWIAT ATOMOWY I FILOZOFIA

(Uwagi z lektury de Broglie'a)

„Nadzwyczajny wzrost potęgi, jaką fizyka jądrowa oddała do dyspozycji ludzkości, stawia zarówno w dziedzinie moralnej, jak i materialnej problemy ciężkie a nawet niepokojące, którymi nikt w chwili obecnej nie może się nie interesować".

Mając w pamięci powyższe zdanie L. de Broglie'a z przedmowy do jego książki „Physique et microphysique", wydanej w r. 1947 w Paryżu, postanowiłem przedstawić niektóre poglądy autora oraz podać uwagi własne, jakie nasunęły mi się w związku z lekturą tego niezwykle interesującego dzieła.

W niniejszym artykule zajmę się jednakże głównie pewnymi wnioskami o charakterze filozoficznym, w mniejszym zaś stopniu, a mianowicie o tyle tylko, o ile to będzie stanowić konieczne oparcie dla treści filozoficznej artykułu, fizyczną stroną zjawisk świata atomowego.

Podejście to wybieram zarówno ze względu na istnienie dość obszernej literatury popularno-naukowej na tematy mikrofizyki w języku polskim, jak i ze względu na przypuszczalne zainteresowania większości czytelników. Nie chciałbym również pominąć milczeniem głębokich i przekonywujących poglądów de Broglie'a na wielkość i zadania nauki oraz na korzyści i niebezpieczeństwa, płynące z jej zastosowań. Zajmę się tym w osobnym artykule, obecnie zaś spróbuję, obierając sobie za mistrza twórcę korpuskularno-falowej teorii materii, nakreślić krótko kilka przynajmniej najważniejszych cech charakterystycznych świata atomowego, jakie, wg poglądów współczesnej mikrofizyki, odróżniają go od świata zjawisk, objętych fizyką klasyczną, aby następnie, w drugiej części artykułu, podać, w znacznej mierze własną, interpretację filozoficzną.

I. ŚWIAT ATOMOWY

Zasadnicza trudność intelektualnego poruszania się w świecie atomowym wynika z tej przyczyny, że — jak to podkreśla de Broglie — układ czasu i przestrzeni taki, jaki sobie przedstawiamy na podstawie doświadczeń w skali normalnej, nie jest dobrze przystosowany do opisu zjawisk w skali mikrofizycznej. Dlatego też w mikrofizyce jest wiele faktów i to dobrze skontrolowanych doświadczeniem, które uczeni umieją wyrażać w formie ścisłej pod względem matematycznym, lecz których nie potrafimy sobie wyobrazić, ponieważ są one przeciwne wszelkim naszym pojęciom intuicyjnym.

Weźmy np. pod uwagę dualistyczne oblicze materii, jakie przedstawia nam współczesna mikrofizyka; z jednej strony obraz cząstki materialnej, z drugiej zaś fali, z cząstką owąż, w jakiś sposób związanej (L'one associée).

Ujęcie takie wydaje nam się czymś wewnętrznie sprzecznym, gdyż pojęcie cząstki wiąże się w naszym umyśle z określonym położeniem w przestrzeni, fala zaś wydaje się słusznie być czymś niezlokalizowanym (Cząstka przedstawia jakby punkt materialny, fala zaś jest ruchem).

Jednakowoż obrazy te nie wchodzą w bezpośrednią kolizję, gdyż im bardziej zaznacza się w doświadczeniu falowe oblicze materii (np. przy zjawiskach dyfrakcji i interferencji wiązki elektronów, padającej na kryształ metalu), tym bardziej zaciera się oblicze korpuskularne (występujące np. przy zjawisku fotoelektrycznym) — i na odwrót.

De Broglie pisze dowcipnie, że wygląda to, jakby przez osobliwą przezorność natury, oba te uzupełniające się oblicza zjawisk mikrofizycznych bawiły się w chowanego...

Oba powyższe obrazy dadzą się jednakże związać w równaniu matematycznym, mianowicie przy pomocy tzw. „stałej Plancka" („h"), liczby mającej pierwszorzędne znaczenie w mikrofizyce.

„Stała Plancka" przedstawia, jak może niektórym czytelnikom wiadomo, kwant, tj. jakby atom „działania" („działanie" w znaczeniu fizycznym przedstawia iloczyn z pracy przez, odpowiadający jej, czas). Kwantowością „działania", a w szczególności b. małym wymiarem „stałej Plancka", wywołana jest następna zasadnicza „inność" świata mikrofizycznego w porównaniu ze zjawiskami w skali normalnej. Oto upada tutaj możność przedstawienia sobie zjawisk w sposób tak ściśle zdeterminowany, jak to jest możliwe, w świecie dostępnym bezpośrednio naszym zmysłom i objętym fizyką klasyczną.

Przy zjawiskach mikrofizycznych musimy bowiem liczyć się stale z nie dającą się usunąć, nawet po udoskonaleniu metod badawczych, niepewnością obserwacji, której rząd wielkości określony jest wielkością kwantu działania (słynna zasada nieoznaczoności Heisenberga).

Gdybyśmy np., chcąc określić położenie elektronu, oświetlili go, wówczas jednocześnie, nolens volens, spowodowalibyśmy zmianę jego pędu (pęd — masa x szybkość), co z kolei uniemożliwiłoby nam dokładne określenie ruchu elektronu.

Dzieje się tak dlatego, że światło, posiadające wg poglądów współczesnej fizyki, podobnie jak materia, podwójny charakter falowo-korpuskularny, przedstawia jakby rój pocisków świetlnych tzw. fotonów — zderzenie zaś jednego z nich z obserwowanym elektronem musi oczywiście spowodować zmianę jego pędu.

Gdybyśmy teraz, chcąc jeszcze dokładniej określić położenie elektronu, użyli światła o fali krótszej, posiadającego zatem fotony o większej energii, spowodowalibyśmy za razem większą zmianę pędu i tym mniej ściśle moglibyśmy zdać sobie sprawę z ruchu elektronu.

Zawsze jednak, w jakikolwiek sposób przeprowadzilibyśmy nasze doświadczenie, otrzymalibyśmy w wyniku, zgodnie ze wspomnianą zasadą nieoznaczoności, że iloczyn niepewności położenia i niepewności pędu jest stały i równy stałej Plancka (h).

Widzimy na powyższych przykładach, jak mniej więcej należy rozumieć ową dziwną „grę w chowanego" dynamicznego a zarazem falowego (pęd, szybkość) oraz geometrycznego a zarazem korpuskularnego (położenie) obrazu rzeczywistości atomowej.

Jak wiadomo, tego rodzaju komplikacje nie występują na szczęście przy obserwacji zjawisk w skali normalnej. Zmiany bowiem np. pędu ciała, wskutek oświetlenia będą tutaj, ze względu na wielką masę przedmiotów znikome, mniejsze na pewno niż np. te, które mogłoby spowodować ulokowanie się muchy na ścigającym się samochodzie.

Tak więc niepewność wywołana niejako subtelnością zjawisk mikrofizycznych, nie gra praktycznie roli przy obserwacji zjawisk, odbywających się w nieporównanie większej skali, odpowiadającej doświadczeniom naszego życia codziennego. W świecie mikrofizycznym natomiast prowadzi ona w dalszej konsekwencji, do pewnego rodzaju indeterminizmu. Odkładając na później bliższe określenie, na czym ten indeterminizm, wg de Broglie'a, polega — wspomnę tylko na razie, że istnienie jednak prawdopodobieństwa niejako kierującego przebiegiem zjawisk mikrofizycznych, wystarcza na to, aby w świecie dostępnym bezpośrednio naszym zmysłom, było możliwe określenie stanu przyszłego jakiegoś układu w określonym czasie, jeżeli tylko znany jest stan tego samego układu w chwili początkowej.

To zaś wszakże oznacza nic innego, jak, że zjawiska normalne, będące statystyczną wypadkową ogromnej liczby zjawisk mikrofizycznych, będą się nam przedstawiały na sposób ściśle deterministyczny.

Można tu zauważyć, że tylko dzięki temu obserwujemy. w przyrodzie istnienia stałych praw, na których znów opiera się cała technika, a co zatem idzie, także i cywilizacja.

II. INTERPRETACJA FILOZOFICZNA

W interpretacji filozoficznej zdobyczy nauk przyrodniczych, a więc również i mikrofizyki, trzeba być niewątpliwie bardzo ostrożnym. Trzeba sobie najpierw zdać sprawę z tego, że chodzić tu może tylko o aktualny stan naszych naukowych wiadomości, który może ulec dość gruntownym zmianom — tak, jak to się już niejednokrotnie w ciągu wieków zdarzało i jak to szczególniej obserwujemy w dobie współczesnej, na przykładzie mikrofizyki i fizyki klasycznej.

Po drugie, nauczeni doświadczeniem w dziedzinie właśnie fizyki, powinniśmy pamiętać, jak zawodne bywają wszelkie ekstrapolacje nawet w jednej gałęzi nauki, cóż dopiero, gdy z dziedziny faktów i teorii, odnoszących się do świata tylko materialnego, przenosimy się w dziedzinę filozofii, zajmującej się całością wszelkich zagadnień bytu.

Zauważył to już Mędrzec przed wiekami: „Myśli bowiem ludzkie są bojaźliwe i niepewne ich przewidywania. Z trudnością domyślają się rzeczy, które są na ziemi, a jakoż zgłębią tajemnicę bytu?" (Mądr. 9, 14 i 16). Nie sądzę jednak, by na podstawie wyżej uczynionych zastrzeżeń, należało się wstrzymać od wszelkiej próby interpretacji filozoficznej współczesnych zdobyczy wiedzy przyrodniczej. Chodzi jedynie o to, by nie robić tego w sposób lekkomyślny, a pamiętając o, wykazanej przez współczesną mikrofizykę, nawet na gruncie samych tylko zjawisk materialnych, zasadniczej niedoskonałości naszego poznania (zasada nieoznaczoności) — nie nadawać tym czy innym naszym wnioskom filozoficznym, wyprowadzonym z wyników współczesnej wiedzy przyrodniczej, wartości absolutnej i ostatecznej.

Jeżeli więc chodzi o zdobycze mikrofizyki, to wartość ich filozoficzna, polegać może, moim zdaniem, raczej na wywieraniu pewnych, opartych na analogii czy ekstrapolacji, sugestii, niż na możliwości dostarczenia pewnego oparcia dla systemów filozoficznych.

a) INDETERMINIZM W MIKROFIZYCE

Przejdźmy do przykładów. W pierwszym rozdziale artykułu indeterminizm został wyodrębniony, jako jeden z zasadniczych rysów świata atomowego, odróżniających go w sposób charakterystyczny od świata dostępnego bezpośrednio naszym zmysłom. Jednakże wg de Broglie'a, indeterminizm powyższy nie ma charakteru bezwzględnego:

„Il subsiste certainement dans la physique quantique une causalité „faible" en ce sens que tout effet a toujours une cause et que la supposition de la cause entraine toujours la disparition de l'effet" (str. 295). A więc istnieje w świecie atomowym jakaś przyczynowość, choć „słaba" („faible") — każdy bowiem skutek ma przyczynę, a stłumienie przyczyny pociąga za sobą zawsze zniknięcie skutku.

„Mais on ne parvient plus a y retrouver la causalité „forte" ou l'effet résulte necessairement de la cause et lui est lié par un determinisme rigoureux".

Czyli, że nie odnajduje się jednak w tym świecie przyczynowości „mocnej" (forte), gdzieby skutek był koniecznie wynikiem określonej przyczyny i był z nią związany zależnością ściśle deterministyczną.

Istnienie przyczynowości „słabej", wyjaśnia dalej de Broglie, pozwala na przypuszczenie, że ta sama przyczyna może spowodować ten — czy inny, z pomiędzy wielu możliwych skutków, i z pewnym tylko prawdopodobieństwem da się przewidzieć, że wyniknie skutek taki a nie inny.

Warto tu nadmienić, że de Broglie wyraźnie oddala możliwość wyjaśnienia tak pojętego indeterminizmu przez przejściową niedoskonałość naszych metod badawczych oraz istnienie jakichś zmiennych ukrytych, po których uwzględnieniu, otrzymalibyśmy obraz rzeczywistości zupełnie ściśle zdeterminowany. Twierdzi on nawet, że niemożliwość tego rodzaju interpretacji została wykazana matematycznie przez fizyka Neumanna. (Schemat tego dowodu podany jest w omawianej książce).

Jeżeli chodzi o stałość praw fizycznych, obserwowaną w świecie zjawisk o skali normalnej, to wyjaśnia się ona, jak już o tym była mowa, statystycznym charakterem tych praw w stosunku do procesów elementarnych w skali atomowej, których są one wynikiem. Znajduje tu zastosowanie znane prawo liczb wielkich, mające zasadnicze znaczenie we wszelkiej statystyce. Pozwala ono, jak wiadomo. przewidzieć z dużym prawdopodobieństwem wypadki, którymi rządzi przypadek, albo nawet wolna wola człowieka — np. przypuszczalną liczbę samobójstw w danym roku, w określonym mieście itp. (oczywiście na podstawie uprzedniej wieloletniej obserwacji).

Spróbujmy teraz zastanowić się nad niektórymi konsekwencjami takiego „osłabienia" determinizmu, jakie nastąpiło w naukach przyrodniczych, na skutek odkryć mikrofizyki.

Jedną z naczelnych idei materializmu XIX-go wieku, opartego na naukach przyrodniczych, był ścisły determinizm, obejmujący swoim zasięgiem nie tylko świat zjawisk materialnych, ale i duchowe życie człowieka, prowadząc między innymi do zaprzeczenia jego wolnej woli. Wprowadzenie przeto pewnego indeterminizmu nawet w zakres zjawisk, dla których zdawałoby się, ścisła przyczynowość obowiązuje ponad wszelką wątpliwość, w zakres zjawisk materialnych — zmniejsza tym samym prawo do przyjmowania bezwzględnego determinizmu w świecie duchowym, będącym wg pojęć materialistów tylko funkcją procesów fizjologicznych. Można by tu wprawdzie powoływać się na to, że w świecie o skali normalnej determinizm nadal obowiązuje, ale niemniej pozostanie faktem, że wyłom w jednolitym, ściśle deterministycznym obrazie świata, wg tradycyjnych pojęć materialistycznych, został zrobiony — i to ze strony najmniej oczekiwanej, bo ze strony zjawisk materialnych.

Również mechanistycznie pojęty ewolucjonizm przyrodniczy, wydaje się, na tle wspomnianego indeterminizmu mikrofizyki, koncepcją niewystarczającą.

Przyjęcie wyższej celowości, kierującej stale, niezupełnie ściśle zdeterminowanymi, elementarnymi procesami przyrodniczymi i doprowadzającymi je niejako, poprzez wszelką przypadkowość, do wytworzenia najrozmaitszych organizmów oraz ogólnego porządku natury — staje się, na skutek rozluźnienia klasycznego determinizmu, tym bardziej naglące. Oczywiście, że celowość ta, w rozwoju procesów elementarnych, mogłaby być nadana tylko przez Istotę, stojącą poza wszelkimi zmianami, czyli, mówiąc po prostu, przez Boga.

Wyjaśnienie ogólnego porządku natury, wobec indeterminizmu procesów mikrofizycznych, jedynie na podstawie samego prawa liczb wielkich, nie wydaje mi się wystarczające; jest bowiem bardzo mało prawdopodobne, aby statystyczny wynik dowolnych mikrofizycznych procesów elementarnych, doprowadził np. do tak skomplikowanych a jednak harmonijnie rozwijających się procesów, jakie składają się razem, chociażby na zwykły fakt życia, a więc fakt istnienia organizmów roślinnych i zwierzęcych — bez leżącej u podstaw tych procesów elementarnych, kształtującej niejako ich prawdopodobieństwo — rozumnej celowości.

Nasuwa się jednak po tym wszystkim pytanie, czy wspomniane osłabienie determinizmu nie jest sprzeczne z podstawową, także dla filozofii chrześcijańskiej zasadą ogólnej przyczynowości, wg której każdy byt przygodny ma swoją przyczynę sprawczą.

De Broglie kwestię tę oddaje do rozstrzygnięcia filozofom... Mnie osobiście, chociaż filozofem nie jestem, wydaje się, że sprzeczności tu nie ma. Na podstawie bowiem, przytoczonego wyżej określenia przez de Broglie'a „słabego" determinizmu, jaki jeszcze się przyjmuje w mikrofizyce — każdy skutek ma zawsze swoją przyczynę, mimo, że zachodzi pewna dowolność, ograniczona prawdopodobieństwem, w rodzaju skutków związanych z daną przyczyną.

b) PODWÓJNE OBLICZE ZJAWISK ATOMOWYCH

Zajmijmy się z kolei drugą charakterystyczną cechą świata atomowego, pozostającą zresztą w związku z rozpatrywaną poprzednio — mianowicie podwójnym, dopełniającym się, tj. falowym i korpuskularnym obliczem zjawisk atomowych. Pojęciu dopełnialności (complémentarite) wprowadzonemu do mikrofizyki przez Bohra, przypisuje de Broglie szczególnie doniosłe znaczenie ogólne. Już sam Bohr podjął się interesującej próby zastosowania takiego ujęcia do zjawisk życia. Oto, aby sprowadzić funkcjonowanie żywego organizmu do procesów fizyko-chemicznych, trzeba poddać wszystkie tkanki i komórki dokładnej analizie chemicznej, powodującej jednakże automatycznie śmierć badanego organizmu. A zatem w momencie, gdy dochodzi w pełni do skutku bada-

nie analityczne organizmu, ucieka życie, które można zatem obserwować jedynie, zrezygnowawszy z dokładnego obrazu fizykochemicznego.

De Broglie podkreśla, jak wspomniałem, ogólne znaczenie idei dopełnialności, która jego zdaniem, przez swój szeroki zasięg, zdolna jest obudzić zainteresowanie także filozofii.

Niewątpliwie rzeczywistość, z którą mamy do czynienia, miewa charakter dopełniający, w sposób analogiczny, jak to widzieliśmy w świecie atomowym.

Weźmy pod uwagę np. człowieka — z jednej strony, jako indywiduum, z drugiej zaś jako część społeczności.

Ani pierwsze ani drugie ujęcie nie jest zupełne i wystarczające. Przy tym, jeśli idzie o grupę zjawisk życia ludzkiego, związaną z jednostkowym życiem psychicznym, to musimy posłużyć się raczej pojęciem indywiduum, przeciwnie zaś, jeśli idzie o życie towarzyskie wielu jednostek obok siebie to na pierwszy plan naszego myślenia wysuwa się pojęcie społeczeństwa i praw rządzących jego życiem. Trudno natomiast, jeśli nie zgoła niemożliwą rzeczą, jest jednoczesne, z jednakim niejako nasileniem, operowanie obu powyższymi pojęciami.

Weźmy pod uwagę inny przykład, np. odnoszący się do naszych przeżyć psychicznych.

Otóż charakterystyczną cechą naszych przeżyć psychicznych jest to, że niemożliwe staje się przeprowadzenie ich umysłowej i refleksyjnej analizy przy jednoczesnym przeżywaniu.

I w takim chyba tylko zastosowaniu słusznym byłoby powiedzenie, że myśl zabija uczucie.

W pojęciu dopełnialności istnieje, jednakże moim zdaniem coś, z czego trudno z całą pewnością zdać sobie sprawę. Chodzi mi mianowicie o to, w jakim stopniu dopełniający charakter naszych wyobrażeń wynika z pewnej ograniczoności umysłu ludzkiego, nie umiejącego, w pewnych przynajmniej wypadkach, stworzyć sobie syntetycznego obrazu rzeczywistości i łamiącego ją dlatego na obrazy dopełniające (podobnie, jak gdy przyjdzie nam załadować na wóz jakiś ciężki i o wymyślnych kształtach przedmiot — rozbieramy go o ile możności, na części), w jakim zaś stopniu sama w sobie dana rzeczywistość posiada charakter dopełniający. (Pytanie powyższe wyda się oczywiście pozbawionym sensu przeciwnikom metafizyki, gdyż odnosi się do istoty rzeczy).

Nie siląc się na rozstrzygnięcie powyższej kwestii, nadmienię jednak że, moim zdaniem, prawda leży, jak zwykle, przypuszczalnie w środku. Trudność zaś sprowadzałaby się wówczas właśnie do wyszukania tego środka w konkretnym przypadku, czyli do zdania sobie dokładnie sprawy z subiektywnych i obiektywnych czynników powodujących, że rozpatrywany wycinek rzeczywistości jawi się nam w sposób dopełniający.

Katolika zainteresuje zapewne pytanie, czy prawdy wiary, przedstawione chociażby w zwykłym katechiźmie, nie posiadają niekiedy takiego dopełniającego charakteru.

Weźmy np. stosunek natury do łaski, stosunek wolnej woli ludzkiej do Opatrzności, jednostki do organizmu Kościoła itp. — czyż przy całej, przewyższającej nieskończenie naturalne siły umysłu ludzkiego głębi, jakie przedstawiają niektóre z przytoczonych przed chwilą pojęć — nie nasuwa się tu mimo woli pewna analogia z dopełniającym obrazem fali i cząsteczki w mikrofizyce?

Należy tu zwrócić uwagę, że jeśli chodzi o poglądy samego de Broglie'a, to odnajduje on wyraźne pokrewieństwo między obrazem świata, jaki daje nam wsp. fizyka a filozofią Bergsona. (Zagadnieniu temu poświęca osobny rozdział w swojej książce).

Wiemy, że przy końcu linii rozwojowej myśli Bergsona leżało chrześcijaństwo... Jest więc to też może pewną wskazówką na niesprzeczność istnienia jednocześnie analogii między ujmowaniem rzeczywistości przez wsp. mikrofizykę a filozofię chrześcijańską oraz filozofię Bergsona.

Kończąc ten rozdział, stanowiący próbę filozoficznej interpretacji obrazu świata atomowego, na podstawie lektury de Broglie'a, zwrócę jeszcze raz uwagę na podstawowy fakt, że w mikrofizyce dochodzi się do pojęć, przekraczających naszą zdolność wyobrażeniową, a jednak wypływających logicznie z faktów realnych, stwierdzonych doświadczeniem. Czy, przenosząc się znowu w dziedzinę wiary, nie stwierdzimy i tu również, np. w treści niektórych dogmatów, istnienia nieraz wprost niepokonalnych dla naszego umysłu trudności dokładnego wyobrażenia?

Lecz okazuje się, właśnie na przykładzie mikrofizyki, że sprzeczność logiczna i niemożność wyobrażenia, to dwie różne rzeczy.

Po uwzględnieniu tego może się zmniejszy, występująca niekiedy w naszym błędnym odczuciu pozorna sprzeczność między rozumem a wiarą.

WIELKOŚĆ I WARTOŚĆ MORALNA NAUKI

De Broglie osobny rozdział w filozoficznej części swojej książki poświęca zagadnieniu samej nauki.

Ciekawe zwłaszcza są jego poglądy na początki nauki.

Uważa on, że u jej podstaw istnieje nie co innego, jak śmiały akt wiary (audacieux acte de foi), który nakazuje nam uznać istnienie pewnej współzależności między następstwem zjawisk w naturze, a odpowiednimi obrazami naszego umysłu.

W przedstawieniu powyższym może budzić pewne zastrzeżenia przekonanie de Broglie'a, że dopiero akt wiary jest potrzebny, żeby uznać realność związków między pojęciami naszego umysłu, a rzeczywistymi stanami natury. Ostatecznie wszystko zależy od tego, co będziemy uważać za wiarę — wydaje się jednakże, że prościej byłoby tu przyjąć kryterium oczywistości takiego związku.

W dalszym ciągu przedstawia de Broglie, jak w miarę rozpędzania pierwszych mgieł, zasłaniających nasze poznanie, odczuwali uczeni, z coraz to większą intensywnością, że w naturze istnieje porządek i harmonia (qu'il existe dans la nature un ordre, une harmonie, str. 227), których zrozumienie, przynajmniej częściowo, jest dostępne dla naszej inteligencji. Tak, dodaje autor, narodziło się to, co się zowie często nauką czystą („la science pure"), czyli owa aktywność naszego umysłu, która cel swój widzi w poznawaniu zjawisk natury i ustalaniu między nimi więzów rozumowych, niezależnie od utylitarnej strony takiego przedsięwzięcia.

Według de Broglie'a, wszyscy, którzy swoje życie poświęcają nauce czystej, przyjmują, świadomie lub nieświadomie, istnienie porządku ontologicznego, który ma charakter transcendentalny. Przeciwstawia się przy tym poglądowi, jakoby dopiero przez stopniową, w ciągu tysiącleci, adaptację naszej inteligencji i i naszej logiki do zjawisk natury, powstawało w nas wrażenie takiego porządku, twierdzi zaś, że przeciwnie — już na to samo, aby ludzkość mogła utrzymać się przy życiu, potrzebne było istnienie pewnej analogii w strukturze naszego umysłu i porządku logicznego świata. Zwraca też uwagę na fakt, że przecież dzisiaj umysł doprowadził człowieka do pojęć, zwł. w dziedzinie mikrofizyki, zupełnie sprzecznych z naszą zwykłą intuicją i z naszym codziennym doświadczeniem, a jednak pozwalających już obecnie opanować i zużytkować zjawiska atomowe.

Gdyby iść dalej po linii wywodów de Broglie'a — możnaby zapytać z kolei, skąd w takim razie wzięła się, wspomniana już wyżej, analogia między prawami naszego umysłu i porządkiem świata, skoro przyjęcie stopniowej adaptacji naszych zdolności rozumowych do otoczenia wydaje się czymś niemożliwym?

A jednak de Broglie nie stawia kropki nad „i", pozostawiając, jak zwykle, kwestię otwartą... Otwartą, lecz w jedną tylko chyba stronę — Stwórcy.

Nie ma tu miejsca ani czasu na przedstawienie wszystkich, niezwykle interesujących poglądów de Broglie'a na stosunek, jaki zachodzi i zachodzić powinien między nauką i filozofią. W każdym razie opowiada się on za możliwie ścisłą wzajemną współpracą. Uważa, że zwłaszcza dzisiaj, po rewelacyjnych odkryciach mikrofizyki, posiadających głębokie aspekty filozoficzne — obojętność filozofa względem zdobyczy, wiedzy, szczególnie nauk przyrodniczych, jest nie do pomyślenia.

Z drugiej zaś strony, na odwrót i uczony może ogromnie wiele skorzystać, rozszerzając zakres swoich zainteresowań w dziedzinę filozofii, zwłaszcza jeżeli idzie o uświadomienie sobie pewnych, nieuniknionych założeń metafizycznych w swojej pracy badawczej.

Tak np. uważa de Broglie, że na skutek zaniedbania u niektórych współczesnych uczonych studiów filozoficznych, wielu z nich stało się „ofiarą" realizmu naiwnego i przyswoiło sobie, niemal nie zdając sobie z tego sprawy, pewien metafizyczny światopogląd, o charakterze materialistyczno - mechanicznym, uważając go jednocześnie za wyraz prawdy naukowej (str. 291).

Zaznacza się tutaj osobisty pogląd autora, który, jak się zdaje, jest zwolennikiem tzw. realizmu krytycznego. Można by, odnośnie do tego, jedynie zauważyć, że realizm tzw. naiwny, czy lepiej powiedzmy, naturalny, przyjmujący świadectwo naszych zmysłów, jako informujące nas o rzeczywistych cechach przedmiotów zewnętrznych, nie koniecznie prowadzi do zignorowania rzeczywistości niedostępnej naszym zmysłom bezpośrednio, czyli do materializmu. Najlepszym dowodem na to jest pozytywne stanowisko względem wspomnianego realizmu, filozofii tomistycznej (vide „Zarys filozofii wieczystej" ks. Kwiatkowskiego).

Jako najwyższy cel nauki stawia de Broglie poszukiwanie prawdy. Nie sądzi jednak, by nauka była bliska dania nam „kluczy do zagadek wszechświata". Przeciwnie sytuacja dzisiejszej nawet wiedzy ludzkiej przypomina mu fresk symboliczny Puvis de Chavannes'a, zdobiący wielką salę amfiteatralną w Sorbonie, a przedstawiający małą polankę, którą zewsząd otacza ogromna i ciemna gąszcz niezbadanej puszczy.

Uważa wszakże za możliwe, że postęp nauki przyniesie nowe odkrycia zdolne, jeśli nie rozwiązać, to przynajmniej naświetlić pewne, wielkie problemy filozofii.

Wspominając o wspaniałych perspektywach rozwoju, jakie współczesna mikrofizyka odkrywa przed najrozmaitszymi gałęziami wiedzy ludzkiej, przestrega uconych przed występkiem pychy intelektualnej („exces d'orgueil intellectuel")), która by mogła wywołać w nich wzgardę dla zajęć innego rodzaju:

„Uczony i myśliciel, nie powinni bowiem nigdy tracić z oczu zawsze ograniczonego charakteru naszej wiedzy a bezmiaru naszej ignorancji; uczucie to powinno ich natchnąć pewną pokorą wobec ogromnego zadania, które ciągle pozostaje do spełnienia" (str. 235).

Powyższe stanowisko de Broglie'a można uważać nie tylko za obiektywnie słuszne, ale równie za wyraz szczerości jego uczuć demokratycznych, opartych na osobistej skromności oraz szacunku dla każdej rzetelnie spełnionej pracy, zarówno umysłowej, jak i fizycznej.

Nadto trzeba przyznać, że wyznania tego rodzaju, i to zarówno jeżeli chodzi o postulat pewnej pokory nauki, jak i w okazanym tu zrozumieniu wartości pracy szarego człowieka — posiadają charakter prawdziwie chrześcijański.

„NOTRE CORP AGRANDI RECLAME UNE SUPPLEMENT D'AME", BERGSON

W dalszym ciągu swych rozważań o nauce przechodzi de Broglie do jej zastosowań. Poznanie naukowe już przez to samo, że odkrywa przed nami istnienie praw rządzących zjawiskami w naturze, daje zarazem możliwości zużytkowania naszej wiedzy praktycznie. Zajmuje się tym technika. Ta ostatnia nie jest jednak tylko stroną odbiorczą w swym stosunku do nauki czystej, przeciwnie — odpłaca się jej ciągle i obficie.

Oto jak de Broglie przedstawia ową, można by rzecz, symbiozę nauki czystej i techniki:

„Między nauką czystą, a techniką dokonuje się stale płodna wymiana poglądów. Pierwsza dostarcza drugiej wiedzy, której tamta potrzebuje, by móc rozkazywać przyrodzie, druga zaś podaje pierwszej tematy nowych badań oraz wywiera rozmaite sugestie". (Zapomniał tu de Broglie zwrócić uwagę na jeszcze jeden ważny fakt, mianowicie, że technika dostarcza nauce coraz doskonalszej aparatury, bez której postęp nauk, zwłaszcza przyrodniczych, byłby b. utrudniony).

Poza tym technika uzupełnia szlachetną rolę nauki, która przez to nie pracuje już tylko dla Prawdy, ale również dla Dobra. („Car ainsi la science ne travaille plus seulement pour le Vrai, elle travaille aussi pour le Bien", str. 238).

W dziedzinie odkryć mikrofizyki widzimy tu już obecnie zrealizowane stosy atomowe, jako nowe, wielkie źródła użytkowanej energii.

Inne zastosowania odnoszące się do biologii, a zwłaszcza jej nowej specjalności genetyki, są jeszcze w stadium prób i badań.

Autor jednak, nauczony dopiero co przeżytym przez cały świat doświadczeniem wojennym, zdaje sobie jasno sprawę z obosiecznej roli, jaką może odegrać ten wspaniały postęp techniki w dziejach ludzkości.

Znamienny i złowieszczy objaw widzi w tym, że energia atomowa została użyta po raz pierwszy do celów niszczących.

W dziedzinie genetyki obawia się wyprodukowania jakichś nowych istot żywych, które mogłyby być czymś w rodzaju nadludzi, lecz zarazem i potworów (!). Po tych zastrzeżeniach stawia pełne dramatycznego napięcia pytanie: „Czy ludzkość okaże się dość mądra, aby nie użyć nowej broni, którą dała jej do ręki wiedza, w celach samozagłady?".

I sam dodaje: „W głębi swojej dręczące pytania tego rodzaju wysuwają na plan pierwszy problem moralny. Odkrycia naukowe i ich zastosowania nie są bowiem, same w sobie, ani dobre ani złe. Wszystko zależy od użytku, który się z nich robi". (str. 240).

To zatem wola ludzka zadecyduje o dobroczynnym albo zbrodniczym charakterze tych zastosowań. Dlatego, chcąc się ustrzec wspomnianej wyżej możliwości samounicestwienia, człowiek jutrzejszy będzie musiał — wg de Broglie'a — „znaleźć w rozwoju swego życia duchowego i w podniesieniu swego ideału moralnego, ową mądrość nienadużywania swoich powiększonych mocy".

I cytując zdanie Bergsona, użyte za tytuł niniejszego rozdziału, że „nasze powiększone ciało woła o uzupełnienie ze strony duszy", zapytuje, czy będziemy umieli postarać się o to dopełnienie (supplement d'ame") tak szybko, jak prędko rozwijają się postępy naszej wiedzy"... „Voila sans doute de quoi depent le sort a venir de l'humanite".

Andrzej Staronka

Zygmunt Lichniak

WALKA O METODĘ

Trzeci powojenny zjazd Ogólnopolskiego Związku Kół Polonistycznych SMA był ostrą, bezkompromisową walką o właściwą metodę badań literackich.

Jedni uważali, że na takie miano zasługuje jedynie metoda marksistowska, inni proponowali mniej lub więcej udane koncepcje eklektyczne, jeszcze inni stanęli w obronie tradycyjnych postaw metodologicznych: biografizm, psychologizm czy formalizm.

Atakowali marksiści. Przedstawiwszy w jednym, ale za to bardzo wyczerpującym referacie o grupie Skamandra, swoje postulaty metodologiczne, przetłumaczone już na język konkretnych sformułowań historyczno-literackich i osądów krytycznych, następnego dnia mogli zgodnym szykiem uderzać na wszelkie przejawy „tradycyjno-idealistycznej" krytyki, maltretując ją już do końca zjazdu koreferatami, świetnie wyreżyserowaną dyskusją, deklaracjami, zaklęciami, rezolucjami...

Jaki był wynik tej walki? Jaki był jej pozytywny sens? Jaka wartość pięciodniowych, gorących i burzliwych obrad?

ROZWIEJMY ZŁUDZENIA

Marksistowska grupa polonistów jest przekonana, że ich ataki zostały uwieńczone zwycięstwem. Ale tylko ta grupa tak sądzi. Obóz przeciwny rozjechał się z przeświadczeniem, że ataki adwersarzy chybiły celu, linia defensywna nie została przerwana, nacierający ukazali swoje słabe strony, luki w szeregach, zawodność niewypróbowanego jeszcze oręża.

Która z tych grup ma rację, kto naprawdę zwyciężył?

Jedna jest tylko odpowiedź sprawiedliwa i objektywna: walka została nie rozstrzygnięta, nikt nie zwyciężył, obydwie strony przegrały. I nie pomogą tu w ratowaniu złudzeń grupy marksistowskiej żadne rezolucje, nie uratują ich przeciwników od stwierdzenia przegranej wspomnienia najhuczniejszych nawet oklasków, fakt pozostaje faktem: walka o metodę dopiero się zacznie, wstępne harce nie przesądziły jej wyniku.

Mimo to miały one swój pozytywny sens. Powinny doprowadzić obydwie strony do wykrystalizowania własnych założeń, do pogłębienia tych założeń, do uświadomienia konsekwencji, jaka wynika z różnicy założeń. A to już będzie osiągnięcie olbrzymie i doniosłe. Nikt z uczestników zjazdu — w czasie trwania obrad — nie zdawał sobie sprawy z doniosłości takiej konsekwencji. Ponieważ ona stanowi największą wartość zjazdu, trzeba się nad nią głębiej zastanowić.

WYCIĄGNIJMY KONSEKWENCJE

Linia dzieląca salę obrad na dwa przeciwne sobie obozy nie była linią różnic metodologicznych, politycznych, ale światopoglądowych. Nie odmienne założenia metodologiczne, ale odmienne przesłanki ontologiczne wywoływały ostrą różnicę zdań. Ktoś powie, że przecież ta czy inna postawa metodologiczna jest wyrazem i narzędziem poznawczym tego czy innego światopoglądu, a więc...

Właśnie o to chodzi: jest wyrazem, jest narzędziem... Uczestnicy zjazdu łódzkiego nie pamiętali o tym. I jeden i drugi obóz opierał się na swoich założeniach światopoglądowych, miarą wynikającą z tych założeń mierzył zjawiska i w oparciu o kryteria własne, z odmiennej ontologii wynikłe, a więc odmienne — starał się ocenić zdanie przeciwników. Stosowano dwie różne miary, nic więc dziwnego, że wyniki były różne. U jednych — pięć, u drugich — dziesięć, u tych — zdeklasowany inteligent, u tamtych — człowiek szukający metafizycznego sensu bytu, na lewym skrzydle — faszysta i drobnomieszczanin, na prawym — wspaniały artysta i wirtuoz, tu — białe, tam — czarne. Niezgodność zdań tłumaczono sobie brakami metodologicznymi, a wynikała ona przede wszystkim z niezgodności zasadniczych konstrukcyj myślowych, z niezgodności ontologicznych. Mówiono dwoma językami, nie rozumiejąc się wzajemnie. Francuz wściekał się na Niemca, że ten „szprecha" po swojemu, Niemiec kpił z „parlującego" Francuza, Francuz uważał, że Niemiec powinien mówić po francusku i zachwycać się francuszczyzną, Niemiec zaś nie mógł się pogodzić, że Francuz nie odpowiada w języku niemieckim i nie pieje peanów powchwalnych na jego cześć.

Bez przenośni: uczestnicy zjazdu nie atakowali swoich postaw metodologicznych, ale podważali założenia ontologiczne. A te opierają się na wierze. I z jednej i z drugiej strony. I u katolików i u marksistów. Stąd — wędrówka w błędnym kole i ciuciubabka metodologiczna. Były chwile, kiedy można było znaleźć wyjście z zaczarowanego kręgu nieporozumień. Padały głosy stwierdzające, że za odmiennymi metodami badawczymi stoją odmienne koncepcje człowieka. Ale zaraz potem wygłaszano kazania: wierzcie nam, koledzy, nasza koncepcja jest szersza, pełniejsza, prawdziwsza! Nikt się nie nawrócił, a zaprzepaszczono okazję do nawiązania porozumienia.

BO PRZECIEŻ...

Porozumienie było możliwe. Można było jasno określić sytuację. Inaczej wierzymy. Inaczej patrzymy na świat. Inaczej rozumiemy świat. Inaczej badamy. Inne stosujemy metody. Inne mamy wyniki. To jedno.

Historia nas uczy, że panowanie mono-metody zacieśnia horyzonty nauki i poznania. Ścieranie się metod rozszerza horyzonty, uwielostronnia, pogłębia naukę. Rozumiejąc odmienność naszych postaw ontologicznych i wypływającą z niej różnicę postaw metodologicznych, wykorzystujmy rozbieżności dla rewizji własnych sądów, uczmy się na błędach przeciwnika, jego osiągnięciami i brakami skłaniajmy się do doskonalenia naszych badań. To drugie.

Wszyscy pracujemy dla siebie i dla przyszłości. Rozumiemy ją inaczej, ale jej pozostawmy objektywny sąd o wartości naszych wysiłków. To trzecie.

Ocali nas to od zaciętrzewienia i głupich pomyłek. To czwarte. I — co również jest bardzo ważne — pozwoli z pięciodniowych obrad zjazdu łódzkiego wysnuć istotne, pozytywne dla obydwu stron wnioski. To piąte.

Katolicka grupa polonistów — uogólniam w tej nazwie dosyć zróżnicowany wewnętrznie obóz przeciwmarksistowski — wnioski pozytywne musi wyciągnąć dopiero ze swych braków i przeoczeń. Poza demagogicznymi oklaskami (bo tylko takie wybuchały na zjeździe), poza kilkoma cennymi wypowiedziami i niechęcią dla postulatów metody marksistowskiej—wnieśli katolicy do ogólnego dorobku zjazdowego bardzo mało. Co gorsza: niechęć do metody marksistowskiej, łączącą ich dosyć mocno, tłumaczy raczej wspaniała intuicja, niż gruntowne przemyślenia, których dyskusja nie wykazała. Marksiści byli do niej przygotowani znacznie lepiej. Złożył się na to nie tylko „zbieg okoliczności", ale błędna przesłanka katolików, że zasada słuszna zawsze zwycięży, chociażby tylko tym i tylko dlatego, że jest słuszna. Referaty katolików — w myśl tej błędnej przesłanki — mniej wykazały troski o poprawność naukową, niż tego wymagała specjalna sytuacja obrad. Od marksistów mogli się poza tym nauczyć katolicy pracy zespołowej, o której wartości świadczyły referaty młodych wychowanków „Kuźnicy".

Objektywnym usprawiedliwieniem mniejszej sprężystości naukowego frontu katolickiego na zjeździe łódzkim był przede wszystkim większy trud, jaki spoczął na ich barkach, większe trudności, jakie mieli do przezwyciężenia. Nie chodzi mi tu o kwestie natury techniczno-organizacyjnej, bo te pozostawiam sumieniu gospodarzy i nie przypisuję im znaczenia merytorycznego. Chodzi mi o koncepcję człowieka, która dyktuje przesłanki metodologiczne i określa ich zadania. Katolicka koncepcja człowieka obejmuje wszystkie zagadnienia, jakie zawiera w sobie koncepcja marksistowska, ale trudność rozwiązania tych zagadnień musi pomnożyć przez olbrzymią i skomplikowaną problematykę życia wewnętrznego, jego zależności od Łaski, Boga, konsekwencji grzechu pierworodnego itd. Marksistowska koncepcja, w oparciu o swoje założenia ontologiczne, pomija kompleks tych zagadnień, sprowadzając je do kilku przesłanek o uwarunkowaniu społecznym, których mechanizm, wprawiony w ruch, prawie automatycznie rozwiązuje uproszczone, w sposób dla katolika niedopuszczalny, kwestie natury ludzkiej.

Drugim objektywnym usprawiedliwieniem konieczności pogodzenia się katolickich uczestników zjazdu łódzkiego z walką na linii defensywnej był brak tzw. zaplecza. Odsiecz starszego pokolenia marksistów, którzy swoją erudycją, wymową i wspaniałą inteligencją, często ratowali młodszych kolegów, była jednym z bardzo zasadniczych atutów w rozgrywce zjazdowej. Katolicy takiego atutu nie mieli. Nieliczne wypowiedzi ich seniorów były ze względu na swoją sporadyczność, tylko pół-środkiem.

Ale usprawiedliwienia te nie usprawiedliwiają wszystkiego.

O pozytywnych osiągnięciach katolików wiemy i — to nam pomaga wytknąć katolickie błędy i niedociągnięcia. Zresztą — przeciwnicy też chyba mieli oczy otwarte. Na tyle ich cenimy, że nie przypuszczamy, aby o sumowaniu plusów zapomnieli lub — wierzyli swoim sprawozdaniom, które plusy te pominą.

Marksiści byli głównymi aktorami zjazdu i — reżyserami. Należy im się chwila uwagi. Nie będziemy tu roztrząsali ani spraw równych szans przygotowania dyskusji, ani wątpliwej kurtuazji czy choćby... nie za wysokiego o sobie mniemania dyskutantów.

Na stwierdzenie jednego z dyskutantów - marksistów, że w dynamice poezji daje się wyśledzić ścisłą zależność od dynamiki życia społecznego, a nie zależność od dynamiki przeżyć, odpowiedziano ze strony przeciwnej, że wykluczenie dynamiki przeżyć jest pominięciem jednego ogniwa w łańcuchu przyczynowym, a to powoduje — pęknięcie łańcucha. Zarzutu nie odparto.

Innym razem jeden z referentów, broniąc się przed atakami marksistowskimi zapytał: kto to jest ten wasz drobnomieszczanin? Mówicie o nim, mierzycie jego gustem gusty klas i epok, a kim on jest? Wy abstrahowanym przez was zlepkiem przypadłości i kompleksów, za którym nie znajdujemy żadnych danych statystycznych, żadnego zrozumienia dla odmienności psychik ludzkich, żadnej niechęci do szablonu i pustej ale wygodnej formułki. Odpowiedzią było milczenie.

Warto o tym pomyśleć. Wtedy dorobek zjazdu będzie czymś więcej, niż... rezolucją.

SUMUJĄC...

Sumując (ale nie kapitulując, nie kapitulując! — bo... to tak łatwo powiedzieć...): zjazd był niezbędnym dla obu stron momentem konfrontacji, z której zbyt pośpiesznych wniosków nie można wyciągać, ale jednego warto się prawem kontrastu i negatywu nauczyć: uczciwości patrzenia na przeciwnika, uczciwości w zwalczaniu przeciwnika, jasności w przeciwstawianiu postaw ontologicznych, które więcej tłumaczą, więcej wyjaśniają i większy mają wpływ na ostateczny wynik walki, niż dotychczas wielu przywykło sądzić.

Zygmunt Lichniak

Marek Antoni Wasilewski

O BOKSIE DLA INTELIGENCJI PRACUJĄCEJ

Pan Wojciech Natanson zajął się w 44 numerze „Nowin literackich" zagadnieniem szkodliwości sportu bokserskiego, biorąc jako przykład walkę pomiędzy Krużą a Czortkiem, w której młody zawodnik Pomorza uległ dotkliwej kontuzji. Znanemu literatowi odpowiedział na ten wywód red. Gostomski w „Przeglądzie Sportowym", zbijając zasadnicze zarzuty p. Natansona. Zdawałoby się, że sprawa załatwiona, a jednak — nie.

Wypowiedź p. Natansona w „Nowinach literackich" wyrządziła niewątpliwą krzywdę sportowi bokserskiemu, krzywdę, której nie jest w stanie naprawić odpowiedź p. Gostomskiego. Dlaczego? Dlatego, iż krąg czytelników „Nowin literackich" tylko w maleńkim zakresie pokrywa się z kręgiem czytelników „Przeglądu Sportowego". Artykuł p. Natansona pozostawi na czytelnikach „Nowin" przykre wrażenie, utwierdzając ich w mniemaniu, że boks jest właściwie odmianą mordobicia, które nierzadko przeradza się w masakrę i jest wysoce szkodliwy z punktu widzenia wychowawczego. Czytelnicy „Przeglądu Sportowego" pokiwają z pobłażaniem głowami nad faktem, że znalazł się jeszcze „jakiś ktoś", kto usiłuje skompromitować tak popularny we wszystkich krajach sport jak pięściarstwo. Dla obu stron sprawa będzie się wydawała na swój sposób oczywista.

Nie chciałbym powtarzać w swym artykule argumentów red. Gostomskiego, toteż położę nacisk na kilka zagadnień, które nie zostały dotychczas uwzględnione w dyskusji.

Spójrzmy na artykuł p. Natansona zatytułowany „Masakra". Zaczyna się on od powołania się na autorytet. Znany literat Jalu Kurek potępił rok temu boks w „Dzienniku polskim" — stwierdza red. Natanson — a jeśli taki wysportowany człowiek jak Kurek potępia boks, no to trzeba sprawę przemyśleć, co ma być chyba w mniemaniu p. Natansona równoznaczne z wydaniem o boksie opinii negatywnej. Cenię Jalu Kurka jako literata, ale bardziej odpowiada mi opinia innego autorytetu. Przypomnę szkic Maurycego Maeterlincka pt. „Pochwała boksu", wydany w tomie „Inteligencja kwiatów", szkic, który ujawnia wysokie zalety estetyczne i psychiczne pięściarstwa, równowartościowe niemal z jego walorami fizycznymi.

Red. Gostomski użył w swym artykule wyrażenia „sztuka pięściarska". Otóż tak jak do odbioru każdej sztuki trzeba mieć przygotowanie, tak samo trzeba mieć przygotowanie do boksu. Przygotowania tego nie ma widz wyjący z zachwytu nad krwawą walką Czortek — Kruża, w której sędzia nie stoi na wysokości zadania, jak i widz, który dojrzawszy pęknięcie wargi u jednego z zawodników, opuszcza trybunę ze słowami: masakra i mordobicie.

Obycia muzycznego nie nabywa się po jednym koncercie, do zrozumienia sztuki formistów i nadrealistów nie dochodzi się od pierwszego spojrzenia na obraz czy na rzeźbę. Smak artystyczny wyrabia się latami. Ta sama reguła obowiązuje w sporcie. Nie może patrzeć na boks w sposób poprawny ten, kto nie zna jego przepisów, kto chce w nim z góry zobaczyć brutalność i rzeźnię.

Zdaje mi się, iż to są właśnie powody, dla których red. Natanson nie posiada właściwego spojrzenia na sztukę pięściarską. Nie chcę być gołosłowny. W „Nowinach" czytamy o niebezpiecznych ciosach w tętnicę(sic!). Anatomio przybywać ku pomocy! Cóż mają znaczyć owe ciosy w tętnicę? Tętnicami nazywamy naczynia krwionośne, przez które krew wypływa z serca. O jakąż tętnicę chodzi panu Natansonowi? Chyba nieporozumienie. Ciosy wymierzane w stosunku do przebiegu którejś z tętnic są absurdem. Można wyprowadzać cios kierując się ułożeniem jakiegoś organu: wątroby, serca, żołądka, ale żaden bokser nie zadaje ciosów w tętnice.

Dalej czytamy, że sędzia zachęcał jednego z zawodników(sic!) „do ostrzejszej gry" okrzykami: walczyć! boks! Pan Natanson widzi tu zapewne jakieś podjudzanie do szybszego wykończenia przeciwnika. W tym miejscu muszę bronić winowajcy spotkania, sędziego Zapłatki. Spełniał on w danym wypadku swoją powinność. Wyjaśnią to nam przepisy bokserskie: W chwili, gdy dwóch zawodników schwyci się wzajemnie, sędzia woła: puść! Zawodnicy są zobowiązani puścić się i odstąpić na krok, przy czym nie wolno im po komendzie sędziego zadawać ciosów do momentu, w którym sędzia zezwoli na nawiązanie dalszej walki słowami: walczyć! czy też: boks!

Konkluzja red. Natansona jest jasna. Rola boksu z punktu widzenia wychowawczego jest zdecydowanie ujemna. Oddaję powtórnie głos red. Gostomskiemu, który pisze: „Boks jest jednym ze sportów, który wymaga ustawicznej nad sobą pracy i znakomitej stale kondycji. Wymaga to od pięściarza nierzadko wielkiego poświęcenia i prowadzenia niezwykle regularnego trybu życia".

Wojciech Natanson był jednym z tych publicystów, którzy rozpoczęli na łamach naszych pism literackich kampanię antyalkoholową. Namyślano się wtedy i radzono, jakich sposobów należy się jąć, by odwieść społeczeństwo od wódki.

A przecież właśnie boks jest tym sportem, który najmniej godzi się z alkoholizmem. Propaganda boksu, to propaganda zwalczania alkoholizmu. Gdybym miał być projektodawcą plakatu antyalkoholowego, to przedstawiłbym na nim pięknie rozwinięte ciało boksera i wyniszczone ciało pijaka. Jeśli sport pięściarski cieszy się u nas popularnością, to trzeba pamiętać, że każdy trenujący boks młody człowiek, to jednostka, którą się moralnie i fizycznie uodparnia na „wyroby monopolowe". Więcej: traktujący poważnie swą zaprawę bokser, nie tylko nie może pić wódki, lecz również nie może prowadzić rozwiązłego trybu życia, ani zatruwać się papierosami. Czyż

boks nie jest więc sportem wychowującym?

Ba! Jest nim z całą pewnością. Kształci nie tylko ciało, ale i wolę. Wyrabia charakter. Ileż wysiłku woli, ile samozaparcia potrzeba nieraz zawodnikowi do przetrzymania walki z przewyższającym go siłą i kondycją przeciwnikiem, a nawet wygrania takiej walki!

Ostatni zarzut p. Natansona, że w boksie decyduje brutalna siła, odparował już red. Gostomski, podkreślając, że właśnie w boksie wyraźnie można obserwować tryumf techniki nad siłą.

— Tak — może na to odpowiedzieć p. Natanson. — Młody człowieku, napisałeś tutaj apologię boksu, powoływałeś się na Maeterlincka, podczas, gdy mnie wystarczy jeden fakt: mistrz Polski w wadze średniej, Zagórski, ma po ostatniej walce złamaną w czterech miejscach szczękę. I cóż obrońco boksu, czy nie płonisz się ze wstydu, broniąc straconej dla ludzi kulturalnych pozycji?

Płonię się, panie Redaktorze, płonię się, ale nie dlatego abym miał się wstydzić boksu, lecz jedynie jego nieudolnych wykonawców. Sport bokserski jest istotnie inny od tenisa, pływania, czy lekkiej atletyki. W sporcie tym istnieje bezpośrednie starcie się dwóch zawodników. Dlatego też bokser winien pamiętać, że walkę należy prowadzić fair, nie tylko dlatego, by nie popaść w kolizję z sędzią, ale i dlatego, by nie zrobić krzywdy swemu przeciwnikowi. Dotąd, dopóty zawodnicy bić będą w nerki, poniżej pasa, czy uderzać głową — pękać będą szczęki i walka taka nie będzie miała prócz nazwy ją reklamującej, nic wspólnego z boksem.

Mówi się, że tenis jest sportem gentlemanów. Bez wątpienia piękny sport, ale o ileż bardziej sposobnym do wykazania swej gentlemanerii sportem jest boks. W boksie istnieje bowiem możność nielegalnego (podkreślam to mocno), wyzwolenia brutalności, ale bokser, jako prawdziwy gentleman z możności tej nigdy nie skorzysta. Nie sztuka bowiem jest być uczciwym tam, gdzie brak jest możności dokonania przewinienia, czy foulu (tenis, pływanie). Natomiast opanowanie się do tego stopnia, by nie naruszyć przepisów walki jest nie tylko dyscypliną mięśni, ale i charakteru.

Od tego momentu mogę już chwycić za transparent wzniesiony przez red. Natansona. Rękawice bokserskie nie są sprzętem dla opryszków i rozbijaków. Są sprzętem dla sportowców, dla ludzi, którzy wychowują swoje ciało i swoją psychikę.

W boksie źle się dzieje. Brak jest wykwalifikowanych sędziów, rutynowanym sędziom zdażają się takie wyskoki jak w czasie walki Czortek-Kruża, istnieje masa pseudoentuzjastów boksu, którzy pod szyldem imprezy sportowej chcą dać upust swej brutalności i ordynarności. Najwyższy czas uświadomić sobie, że dla tego rodzaju elementów, jak i dla niedoszkolonych sędziów nie ma miejsca na polskich ringach. Polski Związek Bokserski, jak i Główny Urząd Kultury Fizycznej mają świetną okazję do przeprowadzenia dokładnej selekcji w kręgach sędziów i zawodników, jak i do zrewidowania niektórych przepisów (nokaut techniczny).

Po przeprowadzeniu takiej reformy p. Gostomski winien co prędzej sam dzwonić do p. Natansona nie czekając na jego telefon i per fas et nefas, wieść go na mecz bokserski w prawdziwie sportowym wydaniu. Może doczekamy się wówczas bokserskiej samokrytyki wybitnego znawcy teatru.

Marek Antoni Wasilewski

Kazimierz Koźniewski

OSZUSTWO SIĘ OPŁACA

Rozdział z tomu pogodnych wspomnień wojennych p. t. „Dwa Bratanki"

Zaczęło się od tego, że w celi naszej było coraz chłodniej i coraz nudniej. Październikowe powietrze łatwo przenikało nieszczelne ramy okienne i zapowiadało zimę w barwach najczarniejszych. Niczego się tak nie lękałem, jak zimna. Nudno było, gdyż za długo już ze sobą siedzieliśmy. Piąty miesiąc. Szmat czasu. Bardzo pilno już było się nam rozstać nawzajem. Wreszcie był i trzeci niepokojący czynnik: było kiepsko z jedzeniem. To znaczy nie było źle — tylko myśmy się rozbisurmanili. Bo najpierw przychylny nam „kulczar" fasował codziennie podwójne i potrójne porcje. Potem walnie pomogły nam paczki dostarczane nielegalnie przez przekupnego plutonowego. Wreszcie — najpierw Neubauer, potem ja — postaraliśmy się pod jakimś błahym pozorem o „diety". Ludzi chorych karmiono tutaj specjalnymi „dietami". Regulaminowo wyglądało to w ten sposób, że delikwent — ewentualnie szczęściarz — otrzymywał dziennie litr mleka, dwie niewielkie bułeczki z białej mąki i dwa jajka na twardo — bez względu na rodzaj choroby. W zamian za to musiał jednak zrezygnować z drugiego dania obiadu. W praktyce — dzięki umiejętnej manipulacji papierosami — „dieta" była dla nas premią dodawaną do pełnego, nieuszczuplonego wiktu. „Diet" jednak nie można było dostawać w nieskończoność.

Było więc u nas w celi bardzo niedobrze. Tęskniłem do jakiej wielkiej przygody!

Wtedy właśnie w czasie zbiorowego rozdzielania jakiegoś tam „zakupu", napatoczył się monsieur Tozan — Turek, fiński dyplomata, człek wielkiej zacności, stały rezydent „celi chorych" — najidealniejszego miejsca w całym „Margit". Starszy pan — znaliśmy się trochę — ujrzawszy mnie wykrzyknął po francusku:

— Panie Kazimierzu! Jak pan strasznie wygląda! Czy nie jest pan czasem chory! Musi pan iść do lekarza!

Niestety. Chory nie byłem. Ale Tozan natchnął mnie wspaniałą myślą. Odbyliśmy z Neubauerem Radę Wojenną — na której zapewniłem go buńczucznie, że celem zdobycia na czas dłuższy „diet" zagram takie przedstawienie, że pół więzienia postawię na nogi, napędzę stracha wszystkim sierżantom, i w ogóle... Neubauer przyjął projekt z entuzjazmem, choć ani przez moment nie wątpił, że w ostatniej chwili jakoś wykręcę się od zrealizowania pomysłu, że mi zabraknie bezczelności. Mało mnie jednak znał. Zresztą zamysły moje sięgały daleko poza skromną „dietę".

Rozważywszy wszelkie warianty działania ustaliłem, że przedstawienie odegrane będzie w piątek. Zawsze lubiłem piątki.

Nadszedł ten dzień. Przygotowania ograniczyły się do zamiany okularów rogowych na metalowe, które jako mocniej trzymające się na nosie, używane były przeze mnie do wszelkiego rodzaju wyczynów fizycznych.

Sierżant wywołał na korytarz. Na spacer szliśmy dnia tego całym piętrem. Izba chorych z Tozanem na czele też była obecną. Zgromadziło się coś ponad 500 więźniów. Zaczęto posuwać się schodami w dół, na podwórze. Gdy kolej doszła do mnie, ledwo zrobiłem kilka kroków dzielących miejsce zbiórki od krawędzi schodów — runąłem przed siebie, w dół, jak długi, jak kłoda. Sposobu staczania się tak po schodach, by wyglądało to groźnie, a samemu nie ponieść żadnej krzywdy, nauczyłem się jeszcze w latach gimnazjalnych. Teraz przydało mi się wyśmienicie.

Toczyłem się w dół, obijając głową o żelazem kantowane stopnie. Neubauer zaczął głośno krzyczeć po węgiersku i po niemiecku, że Koźmiński zemdlał, że to z wycieńczenia, z głodu, gdyż nigdy nie mógł doprosić się podwójnej porcji, że sierżant daje tylko swym ulubieńcom, a biedny Polak, bohater narodowy, który dla swej ojczyzny...

Tym razem Neubauer był wręcz wspaniały. Niczem minister informacji przyzwoitego rządu wydobywał z siebie coraz to bardziej wstrząsające opisy mojego nieszczęścia. A ja leżałem, jak kłoda na półpiętrze. Obskoczyli mnie wszyscy dokoła. Przerażony sierżant, zawodzący Neubauer. Troskliwy Tozan powtarzający w kółko: „a nie mówiłem — ciężko chory!". I masa znajomych więźniów, z których co najmniej dziewięć - dziesiątych rade było takiej bezpłatnej i nie codziennej rozrywce. Posłano po lekarza. Nim ten przyszedł — ja zacząłem powoli odzyskiwać przytomność. Otworzyłem oczy raz i drugi. Jęknąłem boleśnie. Nagle spojrzałem zupełnie przytomnie i po polsku — niby taki zdziwiony — zapytałem co się stało!?

Wytłumaczyli mi, że zamdlałem, że jestem chory, że to zapewne z głodu.

Półgłosem, nieśmiało replikowałem, że przeciwnie ja wprawdzie jestem nieco słaby, ale w istocie czuję się świetnie, że chcę stanąć do szeregu, by iść na spacer... i tym podobne plotłem androny, podtrzymywane energicznie przez nieocenionego Neubauera.

Lekarz ujrzał mnie już stojącego o własnych siłach. Kazał więc tylko przyjść do siebie w godzinach urzędowych przyjęć, a przedtem jeszcze wyjść na spacer.

Towarzysze wyprowadzili mnie wpół słaniającego się z wycieńczenia. Pozwolono mi nie chodzić w kole podwórza razem z innymi, lecz usiąść na schodkach i spokojnie nabierać sił.

Nie było to wcale takie proste, gdyż śmiech dusił mnie spazmatycznie, a ja musiałem być śmiertelnie poważny, wyczerpany, cierpiący...

Po spacerze niemal zaniesiono mnie do celi. Sierżant skakał dokoła przerażony w niezwykły sposób. Nim poszedłem do lekarza przyleciał jakiś „hazi" z pierwszego piętra, wysłany przez Feliksa i towarzyszy z troskliwym pytaniem o moje zdrowie. Już tam doszła wieść o moim wypadku. Dwa więzienne piętra — na trzecim byli sami żołnierze dezerterzy, z którymi my polityczni mieliśmy słaby kontakt — były poruszone. Z Izby Chorych dostałem dużą pakę z nieprawdopodobnymi smakołykami. Choroba zaczynała się popłacać.

W południe zeszliśmy do lekarza. Neubauer wytłumaczył strażnikom, że on też musi iść ze mną, gdyż mogę znowu zemdleć. Wizyta była już przedtem obrobiona dokładnie przez Tozana, który tu miał znakomite stosunki. Głównym sanitariuszem był młody Serb — partyzant od Tita — nazywany Toto. Toto kształcił się na lekarza, a skazany na lat 15-ście zajmował się więziennym sanitariatem, był też z urzędu „starszym" w Izbie Chorych. Chłopak wyjątkowych zalet umysłu i serca. Doktór tedy nie badając mnie wcale przeniósł od razu, na dwa tygodnie, do Izby Chorych. To była właśnie meta, której chciałem dopiąć. Tam było wbród jedzenia, nowi ludzie, a co najważniejsze była to jedyna cela opalana. Przy okazji Neubauer, który zresztą rzeczywiście cierpiał na żołądek, a poza tym będąc niezwykle tęgim mężczyzną wiecznie chodził głodny na tutejszym wikcie, uzyskał przydział nowej „diety".

Tak więc rozstawałem się po pięciomiesięcznym współżyciu z Neubauerem. Proces jego miał być zresztą za parę dni. Skazany na jakieś miesiące tylko — wyszedł zaraz po Bożym Narodzeniu z więzienia na wolność. Wydziedziczony w międzyczasie ze swego majątku — założył w Budapeszcie interes przewozowy. Czy przetrwał późniejszą eksterminację Żydów węgierskich — nie wiem? Ostatnim aktem naszego współlokatorstwa — był z jego strony wyczyn dość interesujący. Zdobył na terenie więzienia zupełnie świeży numer węgierskiej, opozycyjnej, gazety. Dosłownie na kilka minut przed wywołaniem mnie do celi chorych — przetłumaczył na niemiecki wiadomość rewelacyjną: VIII armia przełamała front pod El Alamein, wojska Rommla poniosły pierwszą klęskę. Przeczucie mówiło nam, że w Afryce zbliża się akt ostatni. Choć przecież nie wiedzieliśmy, że z Ameryki płynęły już ku Gibraltarowi olbrzymie konwoje wojenne.

Z wiadomościami z Afryki wkroczyłem do Izby Chorych — gdzie nic jeszcze o tym nie wiedziano. Był to więc niejako mój posag. Cenny dla wszystkich tutaj zgromadzonych.

A towarzystwo było niewątpliwie ciekawe. Izba Chorych była na terenie tego więzienia tylko w połowie lokalem, gdzie przysyłano słabych i rekonwalescentów — (prawdziwi chorzy, zwłaszcza zakaźnie, od stawiani byli do szpitala) — w drugiej połowie było to stałe miejsce pobytu paru panów, którym z tych, czy innych powodów władze więzienne chciały stworzyć nienajgorsze warunki bytowania.

W istocie życie było tu zupełnie przyjemne. Łóżka zamiast prycz; przy każdym z nich stoliczek nocny; parę szafek do dyspozycji więźniów zaopatrzonych w większą ilość bagażu, obowiązywał tutaj przywilej leżenia dzień cały na łóżkach i nie podrywania się nawet wtedy, gdy któryś z podoficerów wchodził na inspekcję. Wszyscy lokatorzy otrzymywali stałą „dietę" i jedzenie było tu staranniej wydawane — „hazi" zanurzali warząchiew bardziej do dna kotłów, wiedząc, że zamożni lokatorzy Izby Chorych nie poskąpią papierosów. Spacery odbywały się dwa razy w ciągu dnia; przed południem razem z całym piętrem, oraz po południu, między pierwszą a trzecią, gdy dziedziniec był oddany do dyspozycji tak zwanych funkcyjnych. Zjawiała się wtedy cała więzienna elita, — dżentelmeni w dobrze skrojonych czystych kombinezonach więziennych, z lnu w lecie, a jakiegoś wojłoku w zimie, czym specjalnie wyróżniali się od szarej masy więźniów, noszących bylejakie, brudne i podarte mundury. Przychodził personel sekretariatu — długo terminowi więźniowie, pracujący w inteligenckiej robocie, stykający się z ludźmi z zewnątrz, czytający gazety, zawsze posiadający najlepsze informacje. Bardzo przychylnie dla nas, dla Polaków, nastawieni, zawsze idący nam na rękę, gdy mieliśmy jakieś kłopoty. Zjawiali się funkcjonariusze magazynów, kuchni, kierownicy warsztatów pracy. Na tym spacerze nie obowiązywały żadne regulaminy: można było gadać dowoli, siedzieć, chodzić, opalać się — istny raj.

Do raju tego wpuszczano też przez bardzo wąskie drzwi. Można się było tu dostać albo przebiegłą intrygą — przy czym pieniądz odgrywał rolę dość zasadniczą — albo brawurowym, atakiem, podobnym temu jak ja wykonałem. Polacy w ogóle mieli szczęście. Przede mną mieszkał tu czas jakiś Sz... Po mnie — przyszedł Feliks.

Do stałej paczki lokatorów — zaliczał się przede wszystkim młody Toto. Sprawował funkcje komendanta celi — ku zadowoleniu wszystkich, gdyż był rozsądny, w miarę sprawiedliwy — na tyle by nikomu nie uczynić krzywdy, ale też nie naruszyć praw grupy lokatorów uprzywilejowanych. — wreszcie chętnie służył pomocą i pośrednictwem w załatwianiu wielu delikatnych i dyskretnych interesów, jakie działy się na terenie „Margit". Różni zawistni niejednokrotnie wygryść go chcieli z zajmowanej funkcji — inteligencja i takt — jednały mu zupełnie zarówno funkcjonariuszy jak szefów sekretariatu i ambulansu.

Drugą figurą w celi był Tozan. Ten człowiek o sprycie iście niebywałym potrafił dokonać w więzieniu prawdziwych cudów. W więziennej kancelarii na jego koncie widniały znaczne sumy pieniędzy. Za pośrednictwem oddanych sobie więźniów - sekretarzy — stale przelewane były pewne kwoty z jego konta na konta tych biednych Serbów, Rumunów, czy innych, którym nikt nie mógł przysłać pieniędzy. Podejrzewam zresztą, iż pieniądze te były przelewane na wyłącznie konta więźniów. Dość, że Tozan, gdy inni skazani mieli prawo tylko raz na kwartał wysyłać listy do swych rodzin — przynajmniej raz na tydzień rozsyłał depesze do Konstantynopola do żony i do Genewy do dyrektorów swych fabryk. Równie często otrzymywał depesze stamtąd. Żona — Szwajcarka — przysyłała mu wspaniałe paki żywnościowe, które dochodziły, choć było to w zasadzie zabronione. Tozan żył w wielkiej przyjaźni z komendantem więzienia, który dedykował mu kilka swych naukowych broszur filologicznych. Wreszcie — właśnie, gdy z nim razem w Izbie Chorych siedziałem — okazało się, że Turek cierpi na kamienie żółciowe, czy jakieś inne dolegliwości i regularnie zaczął pojawiać się specjalny lekarz ambasady tureckiej. Całe więzienie, a szczególnie Serbowie przepadali za uroczym starszym panem, z którymi, jako pół krwi Serb, rozmawiał w ich ojczystym języku. Tozan był w istocie człowiek zalet wprost niezwykłych. Jednak głowę daję, iż choć milioner, zasadniczym zadaniem jego życia w najmniejszym stopniu nie było wyłącznie robienie pieniędzy, jak o tym zapewniał wszystkich dookoła. Węgrzy zdaje się bardzo dobrze wiedzieli komu i dlaczego pozwalają prowadzić telegraficzną korespondencję ze Stambułem i Szwajcarią.

Przeciwieństwem opanowanego i zrównoważonego zawsze Tozana był jego partner w sprawie Gyor — Laslo Bokeffi. Prawdziwa burza nerwów — głównie erotycznych. Siwy poeta i konferansjer, dyrektor teatru, ojciec dorosłego syna przeżywał właśnie od jakiegoś czasu — zaczęło się to jeszcze przed aresztowaniem — swą kolejną wielką, największą miłość. Miłość sześdziesięcioletniego mężczyzny do dwudziestoparo letniej kobiety. Cały czas więzienny schodził Bokeffimu na wymyślaniu coraz to sprytniejszych sposobów komunikowania się ze swoją ukochaną. Stale rezydując w Izbie Chorych miał wiele ułatwień w tym kierunku. Wysyłał płomienne erotyki, zapakowane w papierosy za pośrednictwem lekarza prywatnego, który go odwiedzał dla jakiś zabiegów, przez przekupionych strażników; przez każdą możliwą i niemożliwą okazję. Dwie trzecie tych wysyłanych listów ładowała w więziennym biurze nie dochodząc nigdy miejsca przeznaczenia. Bokeffi nic nie czytał, nic nie robił — tylko pisał listy. W każdej jego książce — znaleźć ich można było co najmniej pół tuzina. Gdzieś w każdym kącie celi. Całe „Margit" znało tę jego namiętność.

Gdy siedziałem z nim razem pasja miłosna dochodziła szczytów. W każdą niedzielę o godzinie jedenastej ten starszy pan z niemałym trudem wciągał na swój potężny korpus maleńki sweterek różowy — był

KATOLICY!

Popierajcie Katolicki Uniwersytet Lubelski

to Jej nocny kubraczek, przysłany mu na pamiątkę. — Tak ubrany — ku oburzeniu spokojnego Tozana — właził w okienne kraty i tam przez dobre pół godziny zalewał się łzami, czynił przedziwne grymasy, wymachiwał rękami. O tej samej bowiem porze ukochana jego przychodziła na podwórko sąsiedniej kamienicy — widoczne właśnie z naszej celi. I tak — oddaleni kratami czy murami — przeżywali swą wielką i jakże teraz czystą miłość.

Aż zdarzyła się katastrofa. Prawdziwa — choć już nie pierwsza — żona Bokeffiego od dłuższego czasu podejrzewała, iż mąż ją zdradza. Jak długo był na wolności — nie potrafiła wykryć swej rywalki. W listopadzie, pewnego południa, przyniesiono Bokeffiego z rozmównicy niemal zupełnie omdlałego. Gdy gruchał pod czujnym okiem strażnika ze swą gołąbką — wizyty dozwolone były co dwa tygodnie — w drzwiach rozmównicy stanęła raptem pani Bokeffi, również przybyła, by w regulaminowym czasie zobaczyć się z małżonkiem. Ujrzawszy czułą parę — zrozumiała wszystko. Krzyknąwszy wielkim głosem — padła zemdlona. Bokeffi chciał iść natychmiast w jej ślady, ale kazano mu udać się do celi. Największą trzeźwość umysłu zachowała młoda kobieta — najspokojniej sobie poszła. Cóż innego miała robić.

W parę tygodni po tym zajściu Bokeffi przeniesiony został do jednego z ciężkich więzień prowincjonalnych. Przecięta została możność komunikowania się z ukochaną. Pozbawiony absorbującej go miłości — cały pogrążył się zapewne w czarnych myślach, jakie niepokoiły go już wtedy, gdy siedział razem z nami. Miał jakieś informacje — choć radia światowe nic jeszcze na ten temat nie mówiły — o rozpoczęciu akcji eksterminacyjnej Żydów europejskich i lękał się niezwykle, by nie doszła ona na Węgry. Niestety obawy jego się sprawdziły. Czy sam padł ofiarą — nie wiem.

Łóżko Bokeffiego stało po mej lewicy — po prawicy natomiast sąsiadem moim był starszy, bardzo gruby, fabrykant skór. Bardzo niebezpieczny towar w czasie wojny. Coś się tam nie zbyt dobrze zgadzało w wojskowych dostawach skórzanych — i mój sąsiad poszedł na lat kilka za kratki. Był to właściwie Polak, nawet Warszawiak — choć jako mały chłopiec zjawił się w Budapeszcie, tutaj został, naturalizował się, ożenił się z Angielką, miał dorosłe dzieci — no i był wściekle bogaty. Źle mu było na „Margit" i tak namiętnie tęsknił do końca swej udręki, to jest końca wojny, że wieczorem przed zaśnięciem pytał mnie systematycznie:

— Panie Koźmiński! Co słychać nowego na frontach?

Wobec czego dzieliłem się zdobytymi w ciągu dnia informacjami. Gdy budziliśmy się przed świtem — jeszcze nie było pobudki — grubas zwracał się do mnie z identycznym pytaniem, będąc widocznie głęboko przekonany, żem w czasie snu odbierał poufne wieści od samego Stalina, Churchilla i Roosevelta.

Ostatnim oryginałem tej celi — był jednonogi starzec. Postać tragiczna. Wyższy oficer sztabu węgierskiego skazany niegdyś na dożywotnie więzienie za szpiegostwo na rzecz — oczywiście Rumunii. W więzieniu nabawił się zakażenia nogi. Amputowano mu prawą nogę, aż po udo. Chodził o kuli. Pracował w gmachu sądu jako jakiś sekretarz czy intendent. Szedł tam jeszcze przed pobudką — wracał po wieczornym raporcie. Przesiedział lat piętnaście — i gdy zgodnie z przepisami — po tym terminie — mógł złożyć prośbę o zwolnienie, która zostałaby uwzględniona—odmówił. Co rok kierowano doń ze strony prokuratora propozycje wolności — co rok wybierał dalsze więzienie. I tak trwał już tutaj lat ponad dwadzieścia. Wysoki, suchy, powoli poruszający się o kulach. Co było powodem tej twardej decyzji — nie było nikomu wiadomym. Starzec był już trochę zdziecinniały, chwilami jakby bredził — może dlatego bał się świata? Może wiedział, iż w tym stanie nigdzie nie potrafi zarobić sobie na życie, a rodzina wyrzekła się go jak na pośmiewisko przysyłając mu na więzienne wydatki... 1 pönga miesięcznie. (1 złoty przedwojenny).

Inni ludzie stanowili mniej stały zespół Izby Chorych. Ptaki przelotne. Przychodziły i odlatywały. Spośród nich zapamiętałem sobie tylko małe dziecko — trzynastoletniego chłopca który przyprowadzony został do naszego więzienia z Siedmiogrodu. Policja węgierska złapała go na wielkim przestępstwie. Za ćwierć kila cukierków przeniósł jakiemuś panu list przez zieloną granicę, z Węgier do Rumunii. Chłopak zresztą był Rumunem. Groziły mu surowe kary. Chwilowo oddano go do cel chorych — przynajmniej mógł pić litr mleka dziennie i mieszkał w higienicznych warunkach.

10 listopada zaelektryzowała nas wiadomość, że przed dwoma dniami Anglosasi wylądowali w północnej Afryce Francuskiej. Wieść była prawdziwa, choć rezultaty desantu— znacznie powiększone. Jakby cała Afryka Francuska była już w rękach Anglosasów. Równocześnie Montgomerry pędził przed sobą Rommla, a ze Stalingradu sygnalizowano coraz skuteczniejszą kontrakcję wojsk rosyjskich. Wszyscy zaczynali gwałtownie wierzyć w rychły koniec wojny.

Następnego dnia zawezwani zostaliśmy do prokuratora. Wszyscy trzej — Piotr, Grodzicki i ja. Sprawa Kazimierza Koźmińskiego i towarzyszy. Prokurator wojskowy poinformował nas, że jesteśmy oskarżeni o działalność na szkodę Węgier, o uprawianie szpiegostwa przeciw Węgrom i Niemcom na rzecz Anglików i wobec tego w procesie, który odbędzie się w grudniu, będzie żądał dla nas najwyższego wymiaru kary — to jest śmierci.

Roześmieliśmy się na takie dictum — nie jemu w twarz, otwarcie, ale kątem ust i zmrużeniem oczu nawzajem do siebie. Nie baliśmy się takich żądań i takich wyroków. Wiedzieliśmy dobrze, że rzecz skończy się na najwyżej 10 latach więzienia, choćby nawet istotny wyrok był surowszy. I tak przyjdzie nam siedzieć do końca wojny. Szkoda tylko, że proces ma mieć miejsce tak rychło— pozycja podejrzanego i oskarżonego była o wiele wygodniejszą od już skazanego. Tozanem nie każdy mógł być!

Wypadki teraz toczyły się prędko. Na Ukrainie, w Afryce Północnej, we Francji — i u nas w więzieniu. Specjalnie dla mnie.

Ledwo ochłonąłem z emocji wywołanej rozmową z prokuratorem, a oto drugi raz w ciągu tego samego dnia wywołany zostałem z celi. Pokierowano mną do rozmównicy. Wręcz zdębiałem — nie miałem tu w Budapeszcie nikogo, kto mógłby ze mną chcieć się widzieć.

A jednak. Gdy wszedłem — po drugiej stronie rozmówniczej kraty w oddzielnym boxie, niczem w konfesjonale, siedziała młoda, przystojna kobieta. Twarz jej była mi obcą zupełnie. Sierżant pchnął mnie na krzesło stojące naprzeciw tej pani.

Zdziwiłem się niepomiernie. Usiadłem.

— Jestem M... Kamilla M... Moje nazwisko nic panu nie mówi, ale przyszłam tu do pana z polecenia Feliksa Grodzickiego. Za pośrednictwem państwa K... skomunikował się ze mną — i prosił bym wobec pana objęła rolę takiej wojennej „chrzestnej mateczki". Pozwolono mi dostarczać panu paczek i będę pana co dwa tygodnie odwiedzać...

Siedziałem zupełnie oniemiały. Było to szczęście o jakim nie marzyłem w najśmielszych snach. Po piętnastu miesiącach samotnego siedzenia ktoś się mną zaopiekował. Czułem się, jak dziecko wychowane w przytułku, które raptem odnalazło przybranych, serdecznych rodziców. Nie mogłem słowa wydobyć ze ściśniętego gardła. A piękna pani dalej roztaczała powabne perspektywy jej nowej opieki. Próbowałem dziękować. Słowa układały się nieporadnie. Odzwyczaiłem widać porozumiewania się z wolnymi ludźmi, do tego z niewiastami. Niezdarnie dziękowałem, naprawdę wzruszony. Prosiłem o częste wizyty i wiadomości polityczne i wojenne — ściślejsze i prawdziwsze, niż te jakie otrzymywałem w obiegu więziennej plotki. Pytałem, czy dysponuje jakiemiś pieniędzmi by za nie kupować paczki. Dostała już na to specjalne fundusze. Nie pytałem od kogo.

Prędko minął regulaminowy kwadrans rozmowy. Odwołano mnie od niej. Wróciłem do siebie — niby pijany ze szczęścia. Po paru godzinach wezwano mnie do kancelarii. Dostałem sutą paczkę; jakieś pieczone kurcze, mleko skondensowane, cukier i cukierki, wędliny, jajka, czekoladę — cuda, cudeńka.

Boże jakiż ja byłem szczęśliwy. Pierwsza paczka żywnościowa po piętnastu miesiącach. Pierwsza przyjemność, iż ja sam mogłem częstować innych, a nie być tylko klientem.

Nazajutrz spotkałem na korytarzu Feliksa. Wracałem ze spaceru — on szedł do rozmównicy. W paru słowach dowiedziałem się szczegółów o pani M. — Polce przemiłej. Było to jeszcze jedno piękne dzieło Feliksa — człowieka szlachetnego.

Od tej pory co tydzień wzywany byłem do kancelarii po odbiór paczki. Co dwa tygodnie — spływała ku mnie wolność wizytą mej „chrzestnej mateczki".

Czyż nie miałem prawa uważać się za szczęśliwca. Izba Chorych, paczki i „mateczka". A czasowo zaczęło się to w chwili, gdy zdecydowałem się symulować — gdy spróbowałem nabić władze więzienne w małą butelkę.

Co czas jakiś jednak lokatorzy Izby Chorych poddawać się musieli lekarskim badaniom. Sumienie mnie ruszyło — i zamiast się zgrabnie zadekować i nie pokazywać się lekarzowi na oczy — śmiało poszedłem do niego. Ufałem zresztą, że sprawa jest przez Tota lepiej opracowana. Na wszelki wypadek — zapytany o zdrowie — zacząłem narzekać na... serce. Badanie niczego nie wykryło. W dwa dni później dostałem polecenie przeniesienia się do normalnej „magam-zarki" — na pierwsze piętro obok Feliksa. Tym razem celę wybrałem sobie już sam, w porozumieniu z sekretariatem.

Morał z tego był bardzo jasny: w więzieniu nie należy być nigdy nadto uczciwym. Zawsze się na tym źle wyjdzie.

Nowa cela była przeraźliwie zimna. Zbliżał się grudzień. Czytać mogłem coraz mniej — dni były krótsze i zimno dotkliwsze. Biegałem po celi wtulając się coraz bardziej w palta, ciepłą bieliznę, koce, nauszniki i rękawiczki. A tu dopiero początek grudnia.

Co będzie, gdy przyjdzie prawdziwa zimo. Brrr... **K. Koźniewski**

Zygmunt Lichniak

PROBLEM

Johann Sonderling był Niemcem. Należał do gestapo. Był szlachetnym człowiekiem. Nie potrafię wytłumaczyć tych paradoksalnych zestawień. Nie wyjaśnię sprzeczności. Może legitymacja organizacyjna o niczym nie decyduje? Może prawdą były domysły Stefana, który także znał Sonderlinga i twierdził, że jest on członkiem fanatycznej sekty „Strażników Dobra", usiłującej szerzyć „dywersję miłości" w łonie „zgromadzenia złych"? Stefan sam był zapaleniec, fanatyk i sekciarz, ale może miał jakieś poufne dane? Nie wiem. Jedno jest pewne: gestapowiec Sonderling był szlachetnym człowiekiem.

Jak nie godzą się z sobą te słowa, tak nie godziły się jego oczy, twarz, uśmiech, ręce, nawet chód z kolistym czakiem, trupią główką nad daszkiem, żółtą kaburą rewolweru i sinym błyskiem naszywek.

Pamiętam go doskonale, bo w chwilach trudnych i patetycznych, kiedy ciężar przeżyć lub gorycz klęsk kazała mi wątpić w człowieka-Niemca, człowieka-wroga, przypominałem sobie Sonderlinga bardzo często i doznawałem zawsze jakiejś nieśmiałej, ale potrzebnej, ale bardzo istotnej ulgi.

Jego małe, trochę psie, załzawione alkoholem oczy tonęły w nie bieskości i tłuszczu, twarz owalna, z bezmyślnie rozluźnionymi mięśniami skupiała się tylko w uśmiechu, uśmiech był jasny i śmiesznie dziecinny, skrywany najczęściej dłonią miękką i białą, której palce do łeczkami na zgięciach i różowością czystych paznokci przypominały ręce niemowląt lub pulchnych damulek. Chód zaś przypominał pod starzałych dandysów, usilnie ratujących resztki dawnego wdzięku manierą i niemęską minoderią. Gniewałby się chyba, gdyby mu na to zwrócono uwagę. Gniew objawiał się u niego stuleniem grubych warg w podłużny ryjek i nerwowym tickiem lewej brwi, drgającej wtedy ku górze. Wyglądało to, jakby się dąsał i dziwił.

Zapamiętałem tę charakterystyczną grę jego twarzy z pierwszego spotkania.

Było to w końcu lipca 1942 roku. Śpiesząc do pracy, natknąłem się na zbiegowisko koło budki z peprosami. Ponieważ w pobliżu nie ujrzałem mundurów, pofolgowałem ciekawości.

Jakiś starszy pan w wyszarzanym garniturku, pieniąc się z wściekłości, szarpał za ramię, ubranego w damski żakiet i parciane portki chłopaka. Chłopak trzymał się kurczowo żelaznej sztaby drzwi i wtulał głowę w ramiona, przyciskał czoło do zielonych desek, jakby chciał w ich małych wypaczeniach znaleźć schronienie czy kryjówkę. Widziałem na zardzewiałym żelazie pobladłe z wysiłku palce, z czarnymi obwódkami brudu za paznokciami. Przez chwilę, kiedy kopnięty przez starszego pana w tyłek, odrzucił spazmatycznie głowę, aby znowu przytulić ją do ściany budki, uchwyciłem tragiczny strach dużych, podobnych do ślicznych źrenic cielęcia, oczu człowieka, przyłapanego na grzechu istnienia. Starszy pan szarpał go, usiłując zaciągnąć na najbliższy posterunek. Nagle ujrzał zbliżającego się gestapowca i podskoczył ku niemu z gorliwością volksdeutschoskiego neofity.

— Jude! Jude! Hier! Sehen Sie! To ja... Sehen Sie!

W podnieceniu chwytał gestapowca za klapę munduru i ciągnął ku zmartwiałemu pod budką Żydowi, triumfujący, zadyszany, opluty własną śliną, straszny. Gestapowiec z niesmakiem odtrącił go od siebie, usta stulił w podłużny ryjek, a lewa brew zadrgała mu nerwowo ku górze. Nikt nie zrozumiał co oznaczało jego warknięcie „ich apknecaj", ale słowa nie grały tu żadnej roli. Odepchnąwszy starszego pana, stojącego z rozdziawionymi ustami na drodze, gestapowiec odszedł dandysowatym krokiem, nie oglądając się ani razu na Żyda, który jęczał coś w szparę między zielonymi deskami...

Drugi raz spotkałem Sonderlinga w tramwaju. Pomagałem wtedy jako „kapuś" w głupawej i śmiesznej robótce Józka Smykonia, syna praczki z naszego domu. Chodziło o to, aby na miejscu nalepki „Nur für Deutsche", nakleić nieznacznie trochę inny druczek: „Nur für Schweine". Wątpliwej wartości dowcip, ale była moda w tym okresie na tego typu akcje. Nazywało to się „malutkim sabotażem". Atakiem kaszlu miałem ostrzec Smykonia przed niebezpieczeństwem. Nic mu jednak nie przeszkodziło wykonać w dość zapchanym tramwaju tej zręcznej robótki. Dopiero gdy już odchodził od barierki poczułem, po prostu poczułem, że ktoś go bacznie obserwuje. Dwie ławki dalej, w „polskiej" części tramwaju stał ubrany po cywilnemu Sonderling. On na pewno pierwszy spostrzegł zmianę napisu. Stawiając wszystko na jedną kartę i wściekły, że taka śmieszna nalepkowa historia może nas „wkopać", przecisnąłem się przed Smykonia i zacząłem sterować ku wyjściu. Gdy przechodziłem koło Sonderlinga, wyraźnie wyczułem pod jego jasnym płaszczem twardy kształt kabury. Zabrakło mi śliny w ustach. Zatrzyma Smykonia, czy nie? Kątem oka spojrzałem na gestapowca. Pulchna z dołeczkami na zgięciach palców, biała dłoń usiłowała ukryć uśmiech. Gdy wysiedliśmy, nic nie mówiłem Smykoniowi, jak bliski był „wpadunku".

Ale opowiedziałem całą tę historię „górze". Postanowiono zwrócić na Sonderlinga uwagę. Fantastyczne domysły wywiadowców podniecały do wytężonych dochodzeń. Jedni przypuszczali, że mają do czynienia z genialnym szpiegiem rosyjskim lub angielskim, inni dopatrywali się w nim kandydata na dezertera, a Stefan wmawiał w nas wszystkich swoje sekciarskie kombinacje. Żadnemu jednak nie udało się znaleźć dowodów na poparcie własnych przypuszczeń. Najsprytniejszy ze wszystkich, Marian — „Żbik", wyszperał tylko kilka konkretnych szczegółów. A więc: Ritterkreuz drugiej klasy, żona i dwoje dzieci w okolicach Flossenburga, małe mieszkanko w Ale Szucha, pociąg do napojów mocno wysokoprocentowych, nadzieja szybkiego awansu na pełnego porucznika, bliski wyjazd — prawdopodobnie w grudniu — na teren Zamojszczyzny. Ani słowa więcej. Gdzie pracował, co robił — nikt nie wiedział. Wkrótce jednak miało nastąpić moje trzecie z Sonderlingiem spotkanie, a z nim dalsze szczegóły o tym ciekawym, wbrew mundurowi i okrucieństwom tamtych czasów miłym mi człowieku.

Byłem umówiony w jednej z podrzędnych knajpek mokotowskich z Marcinem, który miał przyprowadzić gościa, oferującego za stosunkowo niedużą sumę cztery Bergmany i dwa Visy z kilkuset nabojami. Mieliśmy ubić targ i umówić sposób przekazania broni. Gdy wszedłem, od razu zauważyłem przy bufecie Sonderlinga. Miał napięty mundur, twarz spoconą i czerwoną, ale nie był pijany. Pakował właśnie dzwonko śledzia do szeroko otwartych ust, gdy załaskotała mnie nerwową radością niespokojna myśl: Czyżby to on miał ubijać dzisiaj ze mną interes? Ale kiwanie Marcina, siedzącego przy stoliku z jakimś bladym jegomościem w rogowych okularach, rozwiało złudzenia. W czasie rozmowy okularnik i Marcin kręcili się niespokojnie, zerkając na Sonderlinga. Wreszcie Marcin nie wytrzymał:

— Cholera tego... syna tu przyniosła! Może pójdziemy w jakieś inne ustronie?

Na moje zdziwione spojrzenie odpowiedział krótko:

— Uda mnie dzisiaj swędzą...

Powiedzonko to miało w naszej paczce swoistą etymologię i znaczenie. Któregoś wieczoru, gdy wracaliśmy z bronią z jakiejś roboty, młody Józek Smykoń, zapytany, jak się czuje z „gnatem" w kieszeni, odpowiedział, że „byczo" tylko... uda go trochę swędzą. I pogładził pod płaszczem to swędzące miejsce, o które się ocierał rewolwer.

Marcin uśmiechnął się cierpko i wskazał na okularnika.

— Jego też...

— No, to idziemy — zgodziłem się z niewytłumaczonym ociąganiem.

Ale w tej chwili okularnik z rozdziawionymi ustami zastygł w bezruchu. Marcin zmarszczył nerwowo nos. Od bufetu, trochę już gumowym krokiem szedł ku naszemu stolikowi Sonderling. W pulchnej rączce trzymał niezapalone cygaro i uśmiechał się przepraszająco. Okularnik gniótł rąbek obrusa. Oczy Marcina pociemniały, a spod fryzjerskich wąsików wyłonił się krzywy zgryz żółtawych zbęów. Wąski-

mi wargami usiłował zaprojektować jakiś niewinny konwencjonalny uśmieszek. Jedną rękę zsunął pod stół. Drugą gładził nerwowo serwetkę.

Sonderling, zatrzymując się przy naszym stoliku, mlasnął coś, wskazując na cygaro. Wyciągnąłem zapałki. Pierwsza zgasła, nim ją przytknąłem do czubka cygara. Druga rozpaliła się jasnym płomieniem i Sonderling cmoknął kilka razy, aby zaciągnąć się dymem. Kątem oka zauważyłem, że Marcin zrezygnował z projektowanego uśmiechu. Do knajpki weszło trzech żandarmów z półkolistymi blachami na piersiach. Sonderling najwyraźniej zakłopotany prosił o trzecią zapałkę. Cygaro było widocznie trochę wilgotne. Ręka lekko mu się trzęsła, gdy żandarmi podeszli do naszego stolika.

— Ausweis!

Jeden z żandarmów wyciągnął rękę ku okularnikowi. Sonderling odwrócił się na chwilę i — znów zapałka dopaliła się do końca. Zdenerwowany, z pijackim trochę zacietrzewieniem, burknął do komendanta patrolu.

— Dies Hert'n Sind meine Bekannte... Geh'n Sie weiter...

I usiadł na wolnym krzesełku, przypalając cygaro po raz czwarty. Żandarmi poszli dalej. Marcin zrealizował wreszcie nieudolnie projektowany szkic uśmiechu i chwytając w lot sytuację, nastroił rozmowę na sentymentalno-pijacką nutkę „von der guten vergangenen Zeiten". Po kwadransie okularnik wyciągnął nas z knajpy. Sonderling został.

W samotnych rozmyślaniach usiłowałem go oczyścić z zarzutu uczciwości. To niemożliwe, żeby u Szwaba i to w dodatku gestapowca cała ta historia tłumaczyła się szlachetnymi pobudkami. Może rzeczywiście wtedy, koło budki z papierosami nie miał czasu, może wcale nie zauważył roboty Smykonia w tramwaju, mogło mi się przywidzieć, że się uśmiechał, a w knajpie mokotowskiej był po prostu podchmielony i to wszystko. Ale czułem jednocześnie, że w tych prokuratorskich wywodach nie mam racji. Sonderling na denuncjatora w wyszarzanym garniturku patrzył z wyraźną odrazą, jego uśmiech w tramwaju wyrażał sarkastyczne zadowolenie, manipulacje z cygarem były zgrabnie wyreżyserowaną akcją obronną. Za tym wszystkim kryła się jakaś gmatwanina sprzeczności i absurdu, ale coraz mocniej, coraz pewniej powtarzałem sobie: Sonderling jest dobrym człowiekiem. Cieszyłem się tym stwierdzeniem, rzucałem się chciwie na każdą wiadomość, która moim przeczuciom i nadziejom nadawała siłę obiektywnego faktu.

Jedną z takich wiadomości, niewątpliwie najważniejszą, przywiózł mi w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia Stefan.

Niewesołe to były święta. Normalną, okupacyjną ich szarzyznę i smutek pogłębiły wieści z wysiedlanej Zamojszczyzny. Stamtąd przybył Stefan, który miał za zadanie zbadać sytuację i podać informacje prasie podziemnej. Tam też spotkał Sonderlinga.

— Ten twój anioł faktycznie elegancko kojfnął. Rozwalali jakąś rodzinę, były małe dzieci, takie co to jeszcze nie chodzą. Robili to dla postrachu, obok szosy. Kropnęli ojca, matkę, młodsze pociechy, zostało im najmniejsze — gdy stała się ta chryja. Sonderling zwariował. Zaczął kropić z rozpylacza do plutonu egzekucyjnego. Miał pianę na pysku i ryczał jak wściekły. Położył chyba ze czterech, zanim go nie uspokoili serią. Mówiono, że to było jakieś delirium, ale może to od tego draństwa...

Gdy dowiedziałem się, jak zginął Sonderling, przestały mnie gnębić sprzeczności kontrastów, uwierzyłem w jego szlachetność, przypomnienie jego nalanej, pełnej twarzy i niebieskich, „maślanych" oczu w momentach najcięższych opresyj stawało się czymś potrzebnym, niezbędnym niemal.

I ilekroć opowiadam o nim, doznaję uczucia ulgi. Wytykają mi nieścisłości, luki, brak logicznych powiązań w opowieści o Sonderlingu. A jest to opowieść pełna najgłębszej dla mnie logiki. I nie przeszkadza temu fakt, że Sonderlinga w ogóle nie było, że jego postać jest postacią najzupełniej fikcyjną, a wszystkie wystąpienia zmyślone od początku do końca.

Ważne jest to, że opowieścią o Sonderlingu pocieszałem się i krzepiłem w więzieniu w Górze Kalwarii, gdy maltretowały mnie wspomnienia Żyda skopanego przez gestapowca na śmierć koło budki z papierosami, gdy nie mogłem odżałować Józka Smykonia, złapanego przy śmiesznej robótce nalepkowej w tramwaju i wywiezionego do Oświęcimia, gdy przeżywałem po raz nie wiem który strzelaninę w knajpce mokotowskiej, gdzie napadł Marcina szpiegujący go gestapowiec...

Sonderling był mi potrzebny. Sonderling jest mi potrzebny. I będzie dla mnie istniał, choćby wywołał gniew i oburzenie. Bo Sonderling pomógł mi przetrzymać dni, w których Kurt Spinzler, komendant więzienia w Górze Kalwarii, dla rozrywki kazał więźniom bić się po twarzach, aż popłynęła krew z nosa, lub z rozciętych warg. Tłukłem wtedy po gębie poczciwego kmiotka, który dostał się tam za jakieś opóźnienie kontygentu, kmiotek tłukł mnie ciężką łapą i dziwił się nieznacznemu, przyjacielskiemu uśmiechowi moich skrwawionych warg.

Dziwił się także Kurt Spinzler. Stulał przy tym wargi w podłużny ryjek, a lewa brew nerwowym tickiem drgała mu ku górze.

Zygmunt Lichniak

Paweł Jasienica

CZERWONE PIĘTNA

Trudno mi określić dokładnie, czemu mam przypisać, że jedną z moich ulubionych książek jest powieść dla młodzieży napisana przez Walerego Przyborowskiego, a nazywająca się „Jak Prusacy uciekali z Warszawy?" Zamiłowanie to świadczy zapewne o niezbyt wyrafinowanych gustach literackich. Książka, o której mowa, jest pisana dość naiwnie, poza tym jest po staroświecku prostoduszna i przyjemna. Opowiada o przygodach imć Franciszka Salezego Gugenmusa, obywatela miasta Warszawy, sławnego zegarmistrza, Alzatczyka rodem a gorącego polskiego patrioty, kościuszkowskiego żołnierza, uczestnika konspiracyj z czasów pierwszej okupacji pruskiej — postaci ściśle historycznej. Mój stosunek do tej powieści wyniknął zresztą nie z jej walorów artystycznych tylko z rozmaitych skojarzeń. Była mi pierwszym po Warszawie przewodnikiem.

Poznałem tę książkę w gorących dniach lipca czy sierpnia 1920 roku. Wraz z gromadą rówieśników, współmieszkańców ulicy Leszczyńskiej uganialiśmy wtedy po tętniącej rozgwarem wojennym Warszawie, a dla ochłody chodzili kąpać się w Wiśle. Absolutnie nie zdaję sobie sprawy, czy i który to z moich ówczesnych towarzyszy nazywał się Zbigniew Uniłowski. Można bowiem przypuszczać, że mieszkał wtedy także na Leszczyńskiej (pod numerem siódmym, zdaje się) a później sprawy tej ulicy wprowadził do literatury polskiej powieścią „Dwadzieścia lat życia", której autentyzm szczerze podziwiałem.

Chwile wolne od wypraw na miasto tudzież zbiorowych kąpieli poświęcałem na studia kolei życia mistrza Gugenmusa. A później chadzało się na Stare Miasto, gdzie mistrz ongi zamieszkiwał, na placyk z pomnikiem Kopernika, gdzie (—A. D. 1806—) kamraci opryszka-konspiratora nazwiskiem Byk pojmali komendanta policji pruskiej, pana de Tilly, albo też z podziwem oglądało wysoki, czerwony, pochyły mur na Tamce. Za tą ścianą, po podziemnym stawku pływa — jak chce legenda — zaczarowana złota kaczka, a w sąsiednich lochach miał swą kryjówkę, sprzymierzony z mistrzem Gugenmusem, ów Byk.

No i tak już zostało, że każdy kontakt z dziejami czy murami starej Warszawy przywodzi mi zawsze na pamięć poczciwą powieść Przyborowskiego.

Podobnie też było w ćwierć stulecia po przeżyciach z ulicy Leszczyńskiej, kiedy to pierwszy raz po wojnie poszedłem sobie obejrzeć to, co pozostało ze Starego Miasta. Rozbita na pojedyńcze dzwona kolumna króla Zygmunta leżała wtedy na ziemi. Kanciasta jej głowica wbiła się głęboko w bruk uliczny. Trzeba było mozolnie orientować się w terenie, by ustalić, które z okolicznych zwalisk są Zamkiem królewskim. Cisza panowała wokół iście cmentarna. Niespodziany klekot blaszanej obręczy, za którą biegł jakiś oberwany dzieciak, podziałał jakby kółko to potoczyło się po obnażonych nerwach.

Po dookolnych ruinach gęsto widniały czerwone piętna. To rozwieszone przez Zarząd Miejski, barwione na kolor krwi tablice głosiły, że to oto rumowisko jest zabytkiem, dokumentem kultury narodowej.

Czerwonych tablic mniej dzisiaj w Warszawie. Należało je przecież zdejmować kiedy wokół poburzonych gmachów wyrastały rusztowania odbudowy. W myśl powziętych uprzednio postanowień budowle zabytkowe wracały do swoich historycznych kształtów. Wedle tego planu podźwignęły się kamienice ulicy Nowy Świat.

— Tak, poświęca się wiele uwagi temu, by gmachy zabytkowe odbudowywać zgodnie z ich stylem. — Rozmówca mój przerwał na chwilę i spojrzał na wiszący obok zegar Antoniego Gugenmusa (syna Franciszka), wyrobiony w kształt polskiej tarczy przytrzymywanej przez krogulczą łapę. Wśród cyfr staroświeckiego czasomierza widniał napis „Jedna z nich będzie moją ostatnią".

— Ale proszę pamiętać o jednym — podjął. — O tym mianowicie, że dziś pracuje się używając nowoczesnych narzędzi i według precyzyjnych obliczeń. Wskutek tego, siłą faktu, każda odbudowana zabytkowa budowla będzie się jednak bardzo różnić od swego pierwowzoru, wzniesionego — dajmy na to — dwieście lat temu. Bo o uroku i wdzięku starych gmachów decyduje w znacznej mierze to właśnie, że były wznoszone sposobem rękodzielniczym. Fakt ten powodował swoiste, drobne deformacje. Każda kolumienka, każdy narożnik miały swój własny charakter. Już Chociażby przez to, że nie trzymały się zupełnie ściśle pionu czy też nie przebiegały równolegle. Nowoczesna technika wyklucza te wszystkie odchylenia. Miejmy jednak nadzieję, że z upływem czasu same zmiany atmosferyczne, słońce, deszcz i śnieg nadadzą patynę.

Prawda i to. Trzeba się jednak pożegnać z myślą o uroku autentycznych kamienic starej Warszawy. Dobrze przynajmniej, że pochyły, czerwony mur na Tamce ocalał. —

Rozmowa, której fragment dopiero co przytoczyłem, odbywała się w prowizorycznym pomieszczeniu Archiwum Miejskiego stolicy, przy Marszałkowskiej. Wzmiankowane Archiwum to też jedna z tych instytucyj, które pomimo największych starań ich odnowicieli nigdy już dawnego swego bogactwa nie odzyszczą.

Dawnymi czasy — za królów — Archiwum zawierało akta od roku 1376 poczynając, a mieściło się w „sklepie czyli skarbnicy o marmurowej podłodze" w gmachu ratuszowym na Starym Rynku. Nad bezpieczeństwem dokumentów czuwał wtedy zaprzysiężony rajca miejski. A potem, przez cały wiek XIX, jedna nieustanna poniewierka, wilgoć, kurz, szczury i myszy. Papierzyska leżały byle gdzie, pod ławami. W październiku 1862 roku ówcześni konspiratorzy wzniecili pożar, chcąc zniszczyć akta poborowe. Po powstaniu styczniowym władze zaborcze stworzyły dla Archiwum warunki nieco lepsze, ale za to wyłączyły wszystkie akta sprzed roku 1810, kierując je, jako przymusowy depozyt miasta, do Archiwum Głównego Akt Dawnych. A w gruncie rzeczy chodziło o to, by utrudnić polskim badaczom dostęp do dokumentów. Ot, normalne dzieje naszej kulawej historii.

I w XX stuleciu niewiele lepiej powodziło się początkowo archiwalnym papierom. Porządek zapanował dopiero gdzieś w roku 1934, kiedy to przyszli nowi pracownicy, a prezydent miasta Starzyński otoczył instytucję opieką. Wyremontowano historyczny gmach Arsenału przy ulicy Długiej i tam umieszczono zbiory i pracownie, a we wrześniu Arsenał dostał dwadzieścia pięć pocisków i bomb. Zbiory, na szczęście, niewiele ucierpiały. Podczas okupacji, w najtrudniejszych warunkach odbywał się remont gmachu oraz rozszerzanie Archiwum. Przybyły akta Towarzystwa Miłośników Historii, akta Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, Związku Rezerwistów, rękopisy Struga, książki z pozamykanych bibliotek szkolnych, rękopisy prac literackich i naukowych. Zbudowano specjalną ogniotrwałą salę, przenosząc tam rzeczy najcenniejsze. A mieszcząca się w tymże gmachu Warszawska Hurtownia Aprowiacyjna — nic Dyrekcji Archiwum nie mówiąc — umieściła obok role smołowanego papieru, oleje i łatwopalne smary.

W 1944 roku raz jeszcze potknęła się nasza kulawa historia. Od piątego sierpnia broniły się w gmachu Arsenału silne oddziały AK i AL. Pod murami pękły dwa „goliaty". Papiery same przez się palą się łatwo. W danym wypadku pomogły jeszcze zasoby Warszawskiej Hurtowni Aprowizacyjnej. Na nic był wszelki ratunek. Ostatni pracownicy Archiwum musieli pod osłoną nocy opuścić placówkę swej pracy. W listopadzie tegoż roku, z premedytacją i na zimno wykończyli Niemcy resztę zbiorów.

Pod ścianą pokoju, w którym rozmawiam z zastępcą dyrektora Archiwum, p. Adamem Słomczyńskim, stoi oszklona, niewielka gablotka. Jest w niej trochę opalonych fascykułów. To wszystko co ocalało z Archiwum polskiej stolicy. Zniszczenie stuprocentowe.

Tak. Ale pomimo to istnieje nadal nieodparta konieczność dowiadywania się o nieujawnionych dotąd losach rozmaitych alzackich Gugenmusów tudzież swojskich Byków, którzy tworzyli przecież dzieje naszego kraju. Czy mamy może przypominać Amerykanów, którzy jeśli chcą wnętrzu jakiegoś swojego gmachu nadać wygląd „historyczny" to umieszczają elektryczne żarówki w czymś co jest podobne do lampy naftowej? Bo historia Stanów Zjednoczonych zaczęła się na dobre w czasach niewiele wcześniejszych od epoki lampy naftowej (wynalezionej przez Polaka, Łukasiewicza).

W kwietniu 1945 roku decyzją prezydenta miasta Archiwum zostało reaktywowane. Dyrektorem jest dr Aleksy Bachulski, rodowity warszawiak, człowiek, który swoją pozycję społeczną, wykształcenie i tytuł naukowy zawdzięcza wyłącznie własnej pracy. Zaczęło się odtwarzanie Archiwum — z niczego. Trzeba było jednak dać pracownikowi naukowemu jakiś, chociażby zastępczy warsztat pracy. Pomału tworzyła się zbiornica wiadomości o Warszawie. Jej powstawanie to jest też oryginalna historia.

Była — czy może jeszcze jest w Warszawie firma przewozowa Wróblewskiego, będąca jednocześnie przechowalnią. Ludzie wyjeżdżający z miasta oddawali tam na przechowanie rozmaite niepotrzebne rupiecie. I tam to właśnie odnalazła się korespondencja Andriollego oraz materiały redakcyjne dawnej „Muchy" Buchnera (zmarłego pod czas wojny w Wilnie).

Dzieje prasy warszawskiej dobrze znają dziennikarską „dynastię" Korotyńskich. Otóż rodzina ta posiadała, kompletowane przez lat sześćdziesiąt, bardzo ciekawe dziennikarskie archiwum, czyli ogromny zbiór kopert, zawierających najrozmaitsze materiały odnoszące się do dziejów Warszawy. Archiwum to, ukryte w Piotrkowie Trybunalskim, szczęśliwie przetrwało wojnę i zostało nabyte dla Archium Warszawy.

P. Słomczyński wychodzi na chwilę i wraca, przynosząc jedną z tych kopert. Są w niej papiery odnoszące się do postaci Bolesława Prusa. Wyjeżdża na stół korekta „Faraona". A zaraz potem poniższy list, adresowany do Wincentego Korotyńskiego:

„Redakcja Kolców, ul. Niecała Nr 12.13.1874 r.

Szanowny i miłościwy nam Panie Dobrodzieju!

Załączając egzemplarz powieści humorystycznej „Kłopoty Babuni" mamy nadzieję, iż Szanowny Pan raczy o niej uczynić wzmiankę w „Gazecie Warszawskiej".

Polecając się łaskawym względom załączam wyrazy rzetelnego szacunku i prawdziwej życzliwości

J. M. Kamiński
p. o. redaktor

PS. Pod pseudonimem Bolesława Prusa ukrywa się młody autor p. Aleksander Głowacki".

Okazuje się, że i Bolesław Prus potrzebował niegdyś protekcji.

Inny znowu list — z roku 1884 — to pismo Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, które w bardzo grzecznej formie domaga

(Dokończenie na str. 16)

TYDZIEŃ KULTURALNY

W Państwowym Teatrze Polskim odbyła się konferencja prasowa, na której dyr. Szyfman omówił plan repertuarowy na sezon 1948/49.

Po granym już w chwili obecnej „Panu Jowialskim" Fredry na afisz wejdzie nowa sztuka L. H. Morstina pt. „Zakon Krzyżowy" w reżyserii J. Warneckiego.

Dalej ujrzymy arcydzieło M. Gorkiego „Wrogowie" w przekładzie A. Stawara. Przedstawienie to reżyserować będzie K. Borowski. Treścią sztuki są wydarzenia roku 1905.

Z okazji 100-lecia śmierci Juliusza Słowackiego wystawi Teatr Polski „Balladynę" w reżyserii E. Wiercińskiego. Na kwiecień 49 r. planowane wznowienie „Lilli Wenedy" i „Fantazego".

Następnie wystawiona będzie współczesna sztuka czeska.

Ponadto Teatr Polski uzyskał już zgodę Ministerstwa Kultury i Sztuki na wystawienie „Dziadów" w reżyserii L. Schillera z dekoracjami A. Pronaszki. Tutaj mamy tylko obawę czy będą to „dziady" Schillera (Leona) czy... Mickiewicza (Adama).

Teatr Kameralny — filia Państwowego Teatru Polskiego — otworzy swój pierwszy sezon komedią I. Pietrowa pt. „Wyspa pokoju". Premiery należy się spodziewać około połowy grudnia.

WIERSZE POETY BUŁGARSKIEGO O POLSCE

JEDEN z wybitniejszych poetów bułgarskich młodego pokolenia Bożydar Bożyłow, który bawił w ub. roku w Polsce, napisał cykl wierszy o Polsce.

Wiersze ukażą się niebawem w tomie poezji, który autor przygotował do druku.

POCZĄTEK DZIAŁALNOŚCI KOMISJI GŁÓWNEJ DLA SPRAW KULTURY

DNIA 12-go bm. odbyło się w Prezydium Rady Ministrów pod przewodnictwem Premiera J. Cyrankiewicza inauguracyjne posiedzenie Komisji Głównej dla Spraw Kultury.

Komisja ta powołana została uchwałą Rady Ministrów.

Do zakresu działania Komisji należy: ustalanie zasad programowych i organizacyjnych w ramach ogólnej polityki państwa oraz opracowywanie projektów i wniosków w dziedzinie krzewienia kultury; koordynowanie działalności kulturalno - oświatowej organizacji społecznych w ramach ogólnej polityki kulturalnej państwa, ustalanie wytycznych i kontrola użytkowania funduszów społecznych na cele związane z krzewieniem kultury; rozpatrywanie sprawozdań z działalności organizacji społecznych w dziedzinie kulturalno - oświatowej.

WYNIKI KONKURSU NA SCENARIUSZ FILMOWY

OGŁOSZONE zostało orzeczenie jury Konkursu, ogłoszonego przez P.P. „Film Polski", na scenariusz filmowy dla uczczenia pamięci Fryderyka Chopina w stuletnią rocznicę jego śmierci.

Jury postanowiło: pierwszej nagrody nie przyznawać nikomu.

Drugą nagrodę w wysokości 200.000 zł. postanowiono przyznać scenariuszowi pt. „Niezatarte ślady" — Godło „Anamnezis". Po otworzeniu koperty okazało się, że autorem scenariusza jest p. Stanisław Hadyna, zamieszkały w Wiśle.

Trzecią nagrodę w wysokości 150.000.— zł. postanowiono przyznać scenariuszowi pt. „Brzask sławy" — Godło „Jest jedna kolumna w Warszawie". Ze względu na drobną różnicę głosów, która zdecydowała o przyznaniu II nagrody scenariuszowi „Niezatarte ślady" — jury zdecydowało podnieść wysokość III nagrody ze 100.000.— zł do 150.000.— dla zaznaczenia małego odstępu, jaki dzieli dwie nagrodzone prace. Po otworzeniu koperty okazało się, że autorką scenariusza pt. „Brzask sławy" jest p. Hanna Ogulowicz, zamieszkała w Częstochowie.

Pozostałą sumą nagród w wysokości 250.000.— zł. jury postanowiło podzielić, przyznając dwa wyróżnienia po 75.000.— zł. i dwa po 50.000.— zł.

29 listopada br. odbędzie się rozdanie nagród.

NAGRODY LITERACKIE BYDGOSZCZY

ZARZĄD Miasta Bydgoszczy ustanowił 3 nagrody literackie za najlepsze prace, tematycznie związane z Bydgoszczą lub z regionem bydgoskim.

Rodzaj pracy literackiej pozostawia się do wyboru uczestników konkursu. Może to być, nowela, utwór dramatyczny, poemat lub cykl wierszy.

Rozmiar pracy nie jest ograniczony. Termin nadsyłania prac na konkurs upływa z dniem 1 lutego 1950 r.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w październiku 1950 r.

Pierwsza nagroda wynosić będzie 200 tys. złotych, druga 150.000 tys. zł., trzecia 100 tys. zł.

ODROCZENIE WALNEGO ZJAZDU ZW. ZAW. LITERATÓW

ZARZĄD Główny Związku Zawodowego Literatów Polskich podaje do wiadomości, że termin Walnego Zjazdu Delegatów, który miał się odbyć w Szczecinie w dniach 22 — 25 listopada br., został przesunięty na 1-szą połowę stycznia 1949 roku.

OTWARCIE INSTYTUTU WĘGIERSKIEGO W WARSZAWIE

W ramach „Tygodnia Przyjaźni Polsko - Węgierskiej" nastąpi w Warszawie otwarcie Instytutu Węgierskiego.

Do czasu odremontowania Pałacu Staszica, gdzie będzie jego właściwa siedziba, Instytut mieści się w gmachu Związku Nauczycielstwa Polskiego przy ul. Smulikowskiego 6/8.

„QUO VADIS" PO FIŃSKU

W bież. miesiącu wyjdzie z druku, wydany w Helsinkach, przekład „Quo Vadis" Sienkiewicza w języku fińskim.

INAUGURACJA SEZONU OPEROWEGO W POZNANIU

W Państwowej Operze w Poznaniu zainaugurowano nowy sezon operowy uroczystym przedstawieniem opery Władysława Żeleńskiego „Goplana".

Przedstawienie stało się wielkim sukcesem całego zespołu pod dyrekcją Zdzisława Górzyńskiego.

ODBUDOWANO DOM RODZINY STANISŁAWA STASZICA

W Pile (Ziemia Lubuska), rodzinnym mieście wielkiego męża stanu, działacza oświatowego i myśliciela Stanisława Staszica odbyło się, w 193-ą rocznicę jego urodzin, uroczyste przekazanie miastu odbudowanego przez społeczeństwo domu rodzinnego Staszica.

Biały parterowy domek będzie mieścił muzeum pamiątek po Staszicu.

Wędrówki po scenach polskich

Ten spektakl się udał

Utarło się przekonanie, że Perzyński był satyrykiem. Jest w tej opinii błąd dość zasadniczy wskazujący między innymi na to, iż nie bardzo zdajemy sobie sprawę z tego, co to jest satyra. Zanim obradujący kongres satyryków polskich ustali i opublikuje wpsółczesną definicję dla tego pojęcia, musimy zadowolić się określeniami dawnymi. Jedno z nich (Encyklopedyczny Słownik Wyrazów Obcych T. E. M.) twierdzi, że jest to „utwór wyśmiewający wady i ułomności ludzkie w sposób dowcipny, niekiedy złośliwy".

Słowniki Encyklopedyczne istnieją zazwyczaj po to, by wprowadzić ludzi w błąd.

Wydaje mi się, iż straciliśmy resztki szacunku dla wszystkich satyryków, gdyby ich działalność sprowadzała się jedynie do wyśmiewania „wad i ułomności ludzkich"! Czegoś brak w słownikowym określeniu. Brak podania celu tej działalności. Poprawiając tedy w międzyczasie (bez zastrzegania sobie praw autorskich) encyklopedystów, moglibyśmy ustalić, iż satyra polega na wyławianiu wad i ułomności psychiki (ten dodatek jest konieczny, bo przecież nie jest satyrą wyśmiewanie się z czyjegoś garba) ludzkiej i na dowcipnym, nawet złośliwym (do pewnych granic — by nie trzeba było na satyryka pisać satyry) ich demaskowaniu (ewentualnie w przejaskrawieniu) wobec całego społeczeństwa.

Celem tej działalności ma być przekonanie, iż ośmieszanie wad stanowi jedną z metod ich zwalczania.

Nawet w tym poprawionym tu (nieudolnie na pewno) określeniu zachowujemy fragment o wyśmiewaniu. Jest to podstawa satyry.

Jeśli w „Szczęściu Frania" Perzyński chce kogokolwiek ośmieszyć to chyba tylko Otockiego i Langmanową. Nie wydaje mi się jednak, by z osób potraktowanych fragmentarycznie, z osób, z których jedna ma wprowadzać tylko odprężenie w akcję dość smutną, a druga jest tylko narzędziem, służącym autorowi do stworzenia dramatycznego konfliktu, można było urabiać sobie opinię o całości sztuki.

Perzyński pokazuje nam obiektywną, (a więc bez ośmieszania) i rzetelną (a więc bez dozwolonych satyrze przejaskrawień) prawdę. Jeśli mimo to ta, czy inna postać wydaje nam się z jakiegoś powodu śmieszną, to dzieje się tak tylko dlatego, iż wady dostrzeżone u innych zawsze poprawiają nam humor, choćbyśmy sami nie byli od tych wad wolni.

Nie trzeba chyba dodawać, iż intencją Perzyńskiego jest również zwalczanie złych przywar charakteru ludzkiego. Nie można go jednak wskutek tego zaliczać do grona satyryków. O przynależności do tej, czy innej grupy działaczy decyduje w tym wypadku metoda. Satyryk nie ma zaufania do samokrytycyzmu człowieka, nie wierzy w jego zdolność dostrzegania własnych wad, które przecież z reguły szczęśliwemu posiadaczowi, jeśli nie uważa ich wręcz za zalety, wydają się zgoła nieistotne. Stąd tendencja, by zaobserwowane u kogoś wady podkreślić czerwonym ołówkiem dowcipu, śmieszności.

Perzyński wybiera drogę trudniejszą. Nie korzysta z żadnych ułatwień. Stawia przed człowiekiem zwierciadło (ale nie krzywe). Kto chce i potrafi niech się przejrzy. Zobaczy swoją twarz naturalną. I jego już sprawą jest, by dostrzec te rysy, które należałoby zmienić.

Działalność satyry jest pozornie skuteczniejsza. Sukces działalności Perzyńskiego ma jednak wartość bardziej trwałą. Więcej wart człowiek, który zwalczy w sobie jakąś wadę, zrozumiawszy, iż w niej tkwi zło, niż ten, który dokona tego samego ze strachu przed śmiesznością.

***

Dobry pomysł miała Dyrekcja MTD, że nadszarpniętą mocno nieudanym początkiem sezonu opinię można uratować tylko gwarantowanym „pewniakiem". „Szczęście Frania", choć tam ten i ów pisarzyna ponarzeka sobie na Perzyńskiego, korzystając z bezbronności papieru, zawsze się podoba i zawsze ma powodzenie. Tak było ostatnio w Katowicach, w Krakowie i tak było w Warszawie.

Wbrew laickim przekonaniom sztuka wcale nie „stoi" (jak to się mawia) jedną rolą, rolą Frania. Otóż właśnie na tym cała może trudność realizacji polega, że w tym cieniutkim, zarówno ze względu na treść, jak i na samo środowisko, spektaklu, wszyscy muszą grać dobrze, tak dobrze, by pozwolić się wybić Franiowi na plan pierwszy.

Spektakl jest niewątpliwie dużym sukcesem wszystkich wykonawców z wyjątkiem Zbigniewa Koczanowicza. Jeszcze raz potwierdzają się stare, jak świat prawdy, że źle jest gdy aktor grający na scenie reżyseruje tą sztuką, źle, bo wówczas często reżyser, albo pamięta tylko o sobie, jako o aktorze, albo zapomina. Ten drugi wypadek zdarzył się w Comedii. Postać Otockiego była zupełnie nieprzeanalizowana i musiała wypaść blado, nieprzekonywująco. Otocki w spektaklu warszawskim najniepotrzebniej w świecie usiłował (dla lojalności chyba) także przeżywać jakieś walki wewnętrzne, podczas kiedy w istocie powinien się zgrywać wobec romansowej i romantycznej panny.

Z pełnym podziwem natomiast obserwowałem piękną, celową i przemyślaną pracę Mieczysława Borowego (Franio) i Alicji Ursyn-Szantyrównej (Helenka). Ledwie w niektórych tylko momentach żywiołowy temperament Borowego wyłaził z franiowego ubranka. I to przełamanie temperamentu uważam za największy sukces. Dobrze będzie, jeśli p. Szantyrówna ustąpi nieco w końcowych scenach z akcentów zbyt może trącących melodramatem.

Pozostali wykonawcy (Wanda Jarszewska - Lipowska, Janusz Dziewoński - Lipowski, Stanisława Engelówna - Langmanowa i Stanisława Kawińska - Mroczyńska) więcej niż poprawni. W sumie jeden z najlepszych spektakli MTD.

Zastępca

FILM

ZAKAZANE PIOSENKI

Dla „Zakazanych piosenek" życie zaczęło się po czterdziestce. Trzeba zresztą stwierdzić, że ta ich druga młodość spotkała się z daleko bardziej przychylnym przyjęciem publiczności.

Film zawiera liczne migawki z życia w konspiracji, epizody poświęcone piosence, obrazy z partyzantki oparte na materiale autentycznym. Postacie i dzieje trojga młodych bohaterów, które stworzyła fantazja autora sceniariusza są jedynie klamrą spinającą całość akcji. Właściwym tematem i osnową dla całego szeregu scen jest piosenka uliczna i konspiracyjna. W ten sposób zbudowany film jest właściwie zbiorem luźno ze sobą połączonych fragmentów których zadaniem jest — w oparciu o piosenkę — stworzenie przekroju życia konspiracyjnego. Dobrze został wydobyty koloryt lokalny i atmosfera walczącej ulicy. Żywy montaż zwiększa tempo akcji (montaż Chopin-jazz). Napięcie momentów dramatycznych zostały rozładowane przez wprowadzenie humoru (świetne typy charakterystyczne). Niektóre ze scen czy epizodów j. np. historia ukrywającego się żyda, śmierć śpiewaka tramwajowego czy zegar w ruinach wygrywający „Warszawiankę" należą do najlepszych w swoim rodzaju. Wielka szkoda że program nie podaje nazwisk odtwórców epizodów, które stoją nieraz na najwyższym poziomie.

Powiedzmy żartobliwie, że „Stalowe serca" pozostawiły swój wpływ i ślad: potknięcia w dialogach, sztywność i sentymentalizm niektórych scen. Rozhowory miłosne w kawiarni uderzają nienaturalnością. Dialog ich jest sztuczny, aktorzy nie wiedzą poprostu jak go wypowiedzieć i zagrać. Właściwe jednak uderzenie następuje dopiero po scenie rewizji. Rozstając się we wnęce bramy dwoje młodych prowadzi tymi słowy rozmowę: „CO DO naszej wspólnej pracy..." Klasyczny początek tego zdania utkwił mi w pamięci. Przypomina to jako żywo papierkową robotę i napis: „dotyczy: wspólnej pracy".

Czy my jesteśmy tak sentymentalni czy to tylko kompleks polskiej produkcji? W „Zakazanych piosenkach" denerwuje to tym bardziej, że film jako całość w porównaniu do dotychczasowej produkcji nie jest świetnym wprawdzie, ale dodatnim krokiem naprzód. Gdy Halina w czasie powstania (n.b. zawsze z idealnie białym kołnierzykiem bluzki pomimo nawet chwilami brudnej twarzy dowiaduje się o śmierci Ryszarda scenariusz każe jej zaszlochać: „Ja nie płacze, ja śpiewam" — i tym jednym zdaniem kładzie całą scenę. Ten moment należy do takich, które nie tylko nie mogą być wygrywane słowem ale wręcz tracą całą głębię ekspresji kiedy postawiona jest w nich owa przysłowiowa kropka nad „i". Jakże pełną fałszywego sentymentalizmu jest scena, gdy nad grobem partyzanta przyjaciel na organkach wygrywa mu piosenkę. Wrażenie zwiększa jeszcze ujęcie tego zdjęcia, sama kompozycja klatki filmowej i postawa grającego. Uwierzyłbym, gdyby usiadł on niedaleko i w zamyśleniu zapalił papierosa. Jeśli ta piosenka była konieczna dla utrzymania koncepcji artystycznej — niechby brzmiała tylko jako tło dla zdjęcia grobu. Jeżeli ma ją już grać przyjaciel — niech po chwili zdepcze zapalonego papierosa i zagra ją siedząc gdzieś obok ale nie stojąc w pełnej patosu postawie. Piosenka ta wówczas byłaby jego wspomnieniem związanym ze zmarłym, miałaby naturalny wydźwięk a jednocześnie również i u widza wywoływałaby odpowiednie skojarzenia.

Ostatni etap odnosi sukcesy zagranicą. Niemniej jednak jeden sukces to dopiero początek. Nasza kinematografia będąc młodą powinna, sądzę, specjalnie ostro wystrzegać się typowych błędów.

Mówiąc o zagranicy warto zastanowić się nad tym samym zagadnieniem i tutaj. Duża zawartość humoru, (tego najlepszego środka propagandowego), swoisty koloryt lokalny i duże napięcie momentów dramatycznych stanowi atut, który może przyciągnąć widza zagranicznego. Obraz tego rodzaju powinien pójść zagranicę. Dotąd (— a czas upływa i aktualność tematu i zainteresowanie stale zmniejsza się —) nie pokazaliśmy żadnego filmu, który świadczyłby o naszej konspiracji, naszym wysiłku wojennym.

Atrakcją dla widza polskiego jest odżycie wspomnień na ekranie. „Zakazane piosenki" widza zagranicznego mogłyby przyciągnąć tylko wtedy, gdyby zostały opracowane bardzo starannie i precyzyjnie ze szczególnym uwzględnieniem trudno zrozumiałych, typowych dla atmosfery naszej konspiracji momentów.

Program polski nie podaje tekstów piosenek, nie popularyzuje ich. Po to by koloryt lokalny był dla zagranicy zrozumiały i zrozumiany musiałby on być należycie wytłumaczony. Należałoby zwrócić szczególną uwagę na zatrzymanie w tłumaczeniu, piosenek ich pointy, a ew. tam, gdzie nie są one tylko grane, podać tekst (np. w czasie wykonania „Warszawianki przez orkiestrę czy wygrywania jej przez zegar), dołączyć do programów wyjaśniające wprowadzenie i słowa piosenek a ponadto dodać kilka czy kilkanaście stron wybranego tekstu satyrycznego z opracowań takich j. np. Załęskiego „Satyra w konspiracji". Ułatwiłoby to nie tylko zrozumienie filmu ale również spełniło poważną rolę propagandową.

***

Jeśli się wysłucha opinii i relacji publiczności uderza fakt, że działanie tego filmu polega na odświeżeniu osobistych wspomnień, że stwarza kanwę, na której dowolnie rekonstruuje się znane i słyszane epizody. I oto wydaje się, że film ten w minimalnym stopniu organizuje wyobraźnię widza i że największym jego błędem jest to właśnie, że chaotycznie wyrzuca jakąś nie przetrawioną dostatecznie erudycję okupacyjną, wyrywa jakby pewne epizody z tła ludzkiego. Scenariusz „Zakazanych piosenek" grzeszy zachłannością, ambicją przepłynięciem przez

(dokończenie na str. 16)

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Balk)

27

LOT JASKÓŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem"

Adam czuł samotność — i nie miał nic, coby się dało jej przeciwstawić. Książki — nie, nigdy. Ich wiedza rzadko miała posmak osobisty, rzadko stawała się przeżyciem, nie towarzyszyła człowiekowi. Klimat biblioteki jest jednak jeżeli nie zatęchły, to trochę nie przewietrzony, duszny, nie własny. Aby żyć, trzeba mieć cokolwiek własnego: ambicję, kobietę, mężczyznę, w końcu chociaż marzenie. W ostateczności chociażby trochę ziemi lub dom, to jest najtańsze, ale jest — i trzymało nawet długo, dosyć długo, istnienie klasy mieszczańskiej. (Trzeba coś uważać za własne przez uczucie). Wspomnienie domu rodziców było w zasadzie okropne. Dopóki nie znał nic innego, był zmęczony, ale nie zbuntowany. Uważał, że tak widocznie musi być: duszno, bez powietrza, i szaro. Żyje się zawsze w jakiejś męce, okropnej, bo bez celu, niepotrzebnej, nie prowadzącej do niczego. Potem przyszedł bunt i lekceważenie. Wcale nie wybierał się pojechać do rodziców, lekceważył i ich i swoje dzieciństwo — za brak startu. Stamtąd szło się tylko do nikąd i tego nie można było kochać. A jednak, a jednak — w godzinach czytania i w przerwach, gdy kreśląc arabeski w powietrzu piórem, oderwanym od papieru, nad brulionem, w którym zapisywał wszystko, siebie, wiersze, uwagi o Berkeley'u—w godzinach, kiedy osaczała potrzeba pomyślenia o sobie, bez uprzedzeń i bez żadnej przyjętej pozy, jedynie, co miało kolor uczucia: dom rodzinny, czereśnie i truskawki, które ojciec sam kupował na targu, a potem natrętnie zachęcał do jedzenia, trochę prostacko, gruboskórnie — „jedz, bo potem nie będziesz miał" — kiełbasa w żurze co tydzień na wieczór, na kolację, świeże ciepłe bułki rano do kawy, spacer w niedzielę po południu z matką w stronę cmentarza; próbowali ze sobą rozmawiać. O jesieni, o zimie, o sklepie, o palcie po Janku, które da się jeszcze na Adama przerobić. Człowiek pamięta nie to, co chciałby pamiętać, lecz to, co musi pamiętać: albo było bardzo silne albo powtarzało się często, tak często, że rówie wżarło się jak rdza w żelazo, nie da się usunąć. Są sprawy, są uczucia, których pozbyć się można tylko razem z życiem. Chyba, że człowiek siebie zedrze, zniszczy, zamieni na łachman.

Ksawery miał się z Krystyną spotkać w Warszawie dopiero za parę dni i ten czas bez niej minął mu w mieście niesłychanie szybko i jakoś swobodnie. W domu w Warszawie nic nie było zmienione i gdy się nazajutrz po przyjeździe obudził, właściwie nie dostrzegał różnicy — jakby się nic w jego życiu nie stało, jakby nie powstały tak zasadnicze komplikacje. Długo się ubierał i nie mógł się zdobyć na tak prostą decyzję pójścia na miasto. Wyszedł dopiero po obiedzie. Wstąpił do cukierni na lody, nagromadził koło siebie stos czasopism ilustrowanych, skończyło się na przerzuceniu „Światowida". Roześmiał się, że nie jest jeszcze na tyle starszym panem, aby chodzić do cukierni na gazety. To spostrzeżenie mu pochlebiło — o, człowiek lubi pochlebstwa i to jest najtańszy rodzaj kokieterii, najłatwiejszy rodzaj pozyskiwania sobie ludzi.

Dopiero po południu, właściwie nic nie mając do roboty, Ksawery wstąpił do Goślickiego. Przedpokój stanowił poczekalnię, stamtąd wchodziło się do pokoju, gdzie było biuro — dwa biurka, z boku stolik pod maszynę, pod oknem niski stół, gdzie leżały rozłożone jakieś szpargały — półka, podobna do szafy bibliotecznej, zastawiona aktami. Na spotkanie Ksawerego podniósł się tylko młody aplikant, pozostałe osoby, trzy kobiety (jedna była młoda i bardzo przystojna) nie uniosły nawet głowy. Potem wyszedł sam mecenas, siwy i właściwie piękny, zabrał Ksawerego do siebie. W gabinecie mecenasa też było ciemno, paliło się nawet elektryczne światło, choć jeszcze było wcześnie i te dwa światła — sztuczne i naturalne — łamały się ze sobą. Ksawery poruszył sprawę ewentualnej adoptacji Adama, ale mecenas wynalazł z miejsca jakieś formalne przeszkody. Kunowski zniechęcił się do całego projektu i słuchał tylko przez grzeczność, mecenas nie lubił, gdy mu przerywano. „Mają dla niego szacunek jak dla bonzy" — pomyślał Ksawery.

— Wreszcie, możecie mieć państwo jeszcze własne dzieci. W ten sposób byłoby za wygodnie — zauważył Goślicki.

Ksawery nie mógł nawet odpowiedzieć, bo w tej samej chwili weszła młoda kobieta, wyraźny typ kaukaski; czarne włosy, gęste brwi, bronzowa cera, nieco otyła — już teraz. Niosła małą srebrną tacę z filiżanką czekolady i keksem na talerzyku, postawiła ją na brzegu stołu i spokojnie, patrząc gdzieś poza głowę Ksawerego, podała mu rękę.

— Pan Kunowski —moja żona. — Ksawery teraz dopiero się zorientował, że pani Goślicka nie była aż tak bardzo młoda, musiała już minąć czterdziestkę. Nie zdążył się odezwać, wyszła szybko i dopiero w samych drzwiach się zatrzymała:

— Zaraz przyślę jeszcze jedną filiżankę. Zapalił papierosa.

— Pan mecenas ma dzieci?

— Syn, z pierwszego małżeństwa. Ale moja żona go bardzo kocha. To się ułożyło.

Ksawerego uderzyło to słowo. W tym mieszkaniu wszystko wydawało się ułożone, począwszy od książek w szafie, od papierów na biurku, kończąc na trybie życia, może nawet na stylu uczuciowym. Spokój, regulamin nienapisany, porządek zupełny, występujący z biciem godzin na zegarze. Automatyzm nawet, jakaś nowoczesność, która zabezpiecza od chaosu, od nieładu; nowoczesność techniki domowej, nowoczesność organizacji pożycia. Mecenas pił swoją czekoladę jak duży ale zgrabny ptak, pochylający się z wysoka na filiżanką, dodadający jej swoim miękkim drobno rzeźbionym dziobem. Stary, o opuszczonych ku dołowi białych wąsach, starannie ubrany, ze szkocką chustką w bocznej kieszeni marynarki, z barwnym krawatem w grochy pod szyję, dobrze związanym, nie pogniecionym ani trochę; jego elegancja zdradzała pedanterię.

— Musi być zupełnie oschły — pomyślał Ksawery. — Dlaczego ta kobieta właśnie za niego wyszła za mąż? Nie miała co ze sobą robić?

— Nie należy się nigdy śpieszyć, panie Ksawery, nie wyprzedzać wypadków, raczej patrzeć na nie z góry, aby móc przewidywać. Bez przewidywania nie można kierować. Życie nie uznało wynalazku silników spalinowych i ciągle używa nadal staroszlacheckiego zaprzęgu: para koni, rwących, przyzwyczajonych do kłusa, lubiących galop. Trzeba zaprząg mocno trzymać w dłoni. — Roześmiał się — pan nigdy na serio nie myślał o otworzeniu kancelarii? Pamiętam, niebosczyk senator nieraz utyskiwał na pana, oczywiście z tego punktu widzenia. Zawsze byłem gotów pomóc, ale sądziłem, że pan lepiej rozumie swoje potrzeby. Dzisiejsza młodzież — trochę przypominacie emancypantki poczciwego Prusa...

— Chyba nie Madzię Brzeską?

Mecenas pokiwał głową.

— Nie, nie. Tylko w najlepszych, wyjątkowych wypadkach. Judym był bratem Madzi Brzeskiej. Trochę tych ludzi , którzy nie umieją być szczęśliwi. Reszta sobie radzi, bo nic nie bierze na serio. Ani pańskiego brata, ani tak zwanego nowego pokolenia. Niestety, egzaltowani kandydaci na cyników... Jak panna Horwad, gotowi są do małżeństwa z panem Mydełko, wycofują się potem do altany.

— Mecenasie, to wszystko stoi na zakręcie wojna.—

— Nie wierzę. Nie będą śmiali zaatakować. My — naturalnie, ale potęgi całego zachodu! Są w zbyt dobrej sytuacji, aby popełniać samobójstwo. Na nowe Monachium liczyć nie mogą: mimo wszystko, co da się zarzucić sanacji, to można jej przyznać — starali się o wojsko. Mamy armię —

— Tak, tak — powtórzył mechanicznie Ksawery. Mecenas opuścił głowę na piersi, wyciągnął ręce przed siebie, siedział tak z dłoniami opartymi o stół, lekko odsunięty, milczący — jakby pełen fizycznego cierpienia, pasując się z bólem. „Jeden z ostatnich — pomyślał Ksawery — stary endek, z tej rasy, którą wytworzyły ostatnie lata przed wojną światową". Pomyślał z uciechą pełną chichotu, że mecenasa należałoby zabrać do Zarmoliniec i sprezentować tam starym c. k. austriackim ekscelencjom. Ptasie okazy z muzeum, eksponaty trochę zdziwione tym, że żyją. Był świetnym smakoszem i świetnym prawnikiem. Co do spraw finansowych, ojciec miał wyczucie, jeżeli wybrał kancelarię Goślickiego, to nie bez powodu. Na pewno nie kierował się tylko opinią. Sprawdził opinię, nie dowierzał nikomu. Zadawał od niechcenia pytania, na prawo i lewo, porównywał odpowiedzi, wyszukiwał z nich rzeczy jednakowe. Szukał jakichkolwiek faktów, nie miał uprzedzeń zasadniczych, najwyżej nabyte, utrwalone — i wtedy już ich nie kontrolował. Stary endek!

— Czy panowie rozmawiali kiedy z moim ojcem o polityce?

Mecenas się zbudził.

— Nie, nigdy. Nie zgadało się. Zresztą, nie było celu, na pewno różniliśmy się w poglądach.

— No, dobrze, ale rozmawiać, to nie przeszkadza rozmawiać.

Mecenas syknął jak człowiek, od którego chcą, aby był niedelikatny. Pokręcił głową.

— Rozmowa jest swego rodzaju współpracą, a do współpracy potrzeba jednolitości poglądów. — Otrzepał z klap marynarki niewidoczny kurz. — Dziś — powiedział — to wszystko jest już wspomnieniem. Zdrowe poglądy! — zaśmiał się sam do siebie. Daruje pan, ale ja nie rozumiem współczesnych młodych. Albo rozumiem i surowo ich sądzę.

Na tym się właściwie urwało, wrócili do aktów, Goślicki poprosił do pokoju aplikanta — właściwie poto tylko, aby podał papiery. Aplikant chwilę siedział na brzegu krzesła, potem uznał swoją bezpożyteczność i nie zwróciwszy na siebie uwagi, wycofał się. Ksaweremu zresztą dalsza część programu, nawrót do spraw, które zostawił ojciec, również mało odpowiadał w tym dniu letnim, przyjemnym i niefrasobliwym. Myślał o tym, aby się wyrwać i pójść na lody. Mecenas jednak nie dostrzegał w słuchaczu psychicznego biernego oporu i Ksawery musiał się uchwycić prostego wybiegu, wyciągając zegarek. Przeprosił mecenasa, miał pilny termin na mieście.

Panią Goślicką spotkał na mieście w parę dni później, u zbiegu Szpitalnej i Brackiej. Była pora obiadowa, groziło deszczem, chmury dotykały dachów, ulica pustoszała. Ona — przeciwnie — szła jakby bez lęku, powoli, zatrzymując się przed wystawami. Ukłonił się — i nie minął jej.

— Nie boi się pani zmoknąć,

Spojrzała w niebo.

— Nie, nie tak bardzo. Zawsze w porę znajdzie się dorożka.

Dochodzili niemal do Jerozolimskich, gdy lunął deszcz: fantastyczna struga, potop — chodniki przemokły od razu, zabulgotało na nich kałużami, drobnymi kiełkami — to woda, odbijająca się od twardej powierzchni, wyglądała jak pole wyrastających drobnych kiełków. Pani Goślicka rozglądała się daremnie — nie było żadnej zbawczej dorożki czy taksówki. Ksawery bohatersko rzucił jej na ramiona swój płaszcz i pociągnął w stronę Cristalu. Szła przed nim bez zdziwienia jakby to wszystko było przygotowane i omówione, przeszła na werandę i odsunęła krzesło przy pierwszym z brzegu stoliku. Garson zabrał płaszcz do szatni, dotknęła ręką włosów — były mokre. Potem dopiero spojrzała w stronę Ksawerego i parsknęła śmiechem: na brązowej marynarce pełno było fioletowych smug wilgoci, od ramion, ku dołowi.

— Jak na bohatera, ma pan smętny wygląd.

— Ale za to dobrą minę, temu pani nie zaprzeczy. Chyba zjemy obiad?

Nie, nie godziła się. Deszcz niedługo ustanie. Zresztą, gdyby nawet, można łatwo sprowadzić taksówkę. Obiad czeka na nią w domu, nie może tedy jadać obiadów na mieście z młodymi ludźmi po przypadkowych restauracjach.

— Z przypadkowymi młodymi ludźmi — poprawił. — Ja w każdym razie zjem obiad. Niech się pani czegoś przynajmniej napije.

— Nie wierzę w przypadki. Należy brać ludzi w całej ich pełni, jacy są, nie używając lornetki, nie zmniejszając ich w proporcji.

— Nie rozumiem.

— To głupstwo. Widzi pan jak ja się źle wysławiam. — Dopiero teraz sięgnęła po lusterko do torebki. Była w czarnej sukni, z ciemną różą u stanika jakieś złote rzeczy wisiały jej na szyi. Poza tym — zupełnie prosto, nawet bez kapelusza. Niebieski heban włosów, teraz kruczo czarny od wody. W Ksawerym istniała drobina podniecenia, może trochę fałszywego: przed półgodziną wstąpił do baru na Jasnej na wódkę. Nie, nie było tego dużo — szklanka od piwa, z niedużą ilością pieprzu. Ostry, ciężki napój, który się nie zdradzał, nie można się go było domyśleć. Pani Goślicka nie chciała pić.

— Nawet wina?

— Nawet wina. Poproszę o kilka pasztecików.

— Dziwi mnie trochę — zaczął jakby bez wstępu — pani małżeństwo. Po prostu — jak się państwo zetknęli, przecież pani jest tak wyraźnie ze Wschodu, chyba Kaukaz?

Skinęła głową.

— Oh, jeszcze w Rosji. Wzięliśmy ślub w Moskwie. A jeśli chodzi o małżeństwo, kobiety dla tylu powodów wychodzą zamąż. Czasami dlatego, że są kochane. Na ogół, to je przekonuje i nie szukają już innych racji.

— Małżeństwo — syknął. Pojawił się w nim ton osobisty, niemal ton zwierzenia. Odrzucił go, był znowu swobodny — nie można w stosunkach z ludźmi narażać swoich głównych sił, swoich spraw zasadniczych. Operuje się na przedpolach, na przedmieściach, przywołuje się narzędzia z rekwizytorni, z garderoby duszy. Czasem są nowe, polerowane, wprost spod warsztatu, tyle tylko, że martwe, że naznaczone swoim piętnem dekoracyjności. A czasem wręcz przyniszczone, wpół zużyte, nieefektowne, budzące śmiech, nie wytrzymujące konwencji.

— Cóż małżeństwo — podjęła. — Nic nadzwyczajnego, tylko nikt czegoś lepszego nie wymyślił. Powołaniem kobiety jest, aby była wielbiona. Na zachodzie, już poczynając od Poznania, kobietom to się nie udaje. Lusterko, puderniczka — oto europejka. Mężczyźni się gubią, że też tego nie widzą. Powinni wielbić kobiety.

— Czy Rosjanie to umieli? Może po prostu byli mniej kulturalni niż wasze kobiety i dlatego czuli swą niższość.

Wzruszyła ramionami.

W Rosji małżeństwo nawet nie było beznadziejne z punktu widzenia kobiety. Nie przestawała czuć się najważniejsza w życiu mężczyzny i we własnym życiu. Moi rodzice, moja matka dla ojca do końca była pięknością eschatologicznie ostateczną". Nawet kupiec Rogożyn w „Idiocie" Dostojewskiego, i on stoi wobec bóstw, w świątyni. Zachód posłał kobietę do kuchni, potem do biura, w końcu przylgnęło do niej to, co za czasów Zoli odnoszono tylko do kobiet z półświatka. I ostatecznie, kobiety rosyjskie miały olbrzymi wpływ na mężczyzn, mogły ich stworzyć albo zniszczyć. Na zachodzie cały problem sprowadził się do spraw utrzymania. Futra, lisy, suknie — tego nauczyły się chcieć od mężczyzn bo ja wiem — jeszcze domu, prowadzonego na pewnej stopie.

Widać było, że ten temat ją zajmuje. Mówiła jak osoba szczęśliwa, która z tego powodu, że jest szczęśliwa, nie ma wyrzutów sumienia, ani nawet litości wobec tych, które nie wygrały losu. Może raczej wyrozumowane mądre miłosierdzie, pozwalające wyraźnie zobaczyć okoliczności błędu. I poczucie wyższości, tak jak się rozmawia o wadach i zaletach niewolników. Nic z tonu wyzwolenca, poczucie pańskiej niezależności.

— Niech pan zwróci uwagę — powiedziała — jak młode są najlepsze bohaterki rosyjskiej literatury — poza jedną Anną Kareniną.

(c. d. n.)

FILM

(Dokończenie ze str. 14-ej).

najróżniejsze sytuacje. Nie selekcjonuje wydarzeń nie oświetla ich, nie wiąże, rejestruje je — nie zawsze zresztą we właściwy sposób. Cały ciężar filmu spoczywa na epizodach, sytuacjach okupacyjnych w których ludzie są jedynie pretekstem. Dlatego też wszystkie konflikty wydają się papierowe, dlatego dialogi są bezosobowe, dlatego wiele sytuacji popada w niepotrzebny i zafałszowany patos. W koncepcji filmu widać ambicję stworzenia jakiejś epopei okupacyjnej związanej z historią kilku zwyczajnych ludzi. Być może, że zdarzało się, że dzieje najzwyczajniejszych rodzin zawierały jakiś przekrój, jakiś szeroki wachlarz podziemnego życia. Niemniej jednak o obowiązkiem scenarzysty było wybrać nie w imię prawdopodobieństwa życiowego ale pewnej wyrazistości artystycznej jakieś epizody i cechy. Zrezygnować z pewnych scen a zato wybrane związać silniej z ludźmi, stworzyć charaktery, dać mocniej osadzoną, mniej płynną wizję. Film powinien nie tylko przypomnieć lub nawet wzruszyć ale ująć, przedstawić, skomponować fragmenty konspiracji.

Gdyby bohaterów filmu ukonkretnić, marionetki zastąpić ludźmi uniknąć by się dało koturnowych rozmów, tych wszystkich niezręcznych, nie dających się wypowiedzieć bez sztuczności zdań, nie możliwy byłby organkowy koncert na grobie, śpiew przez łzy itp.

Nabyć, czytać, nie czytać?...

Roman Szewczyk. Pamiętnik Filipa de Commynes jako źródło historyczne. Tow. Nauk. K.U.L., 1948 r., str. 87.

Wydawnictwa Tow. Naukowego K.U.L. mają za sobą ustaloną już pozycję i każde nowe przyjmowane jest z ciekawością.

Powyższe wydawnictwo jest szczególnie miłą pozycją dla miłośników historii, co zresztą wskazuje sam tytuł.

To co odstrasza większość ludzi od czytania rozpraw i prac historycznych, to nagromadzenie faktów naszpikowanych niezliczoną ilością dat i nazwisk, czyli mówiąc prościej obawa przed zanudzaniem. Nie można tego nagromadzenia odmówić i tej pracy. Wszak ma do tego pretensje druga połowa XV w. i przełom z XV na XVI w. — ten bowiem okres jest tematem pamiętników Filipa de Commynes. Jest jednak coś co zachęci do przeczytania tej książeczki każdego, kto choć trochę zna historię. Otóż Filip de Commynes, będąc agentem politycznym Ludwika XI, a później XII, był au courant wszystkich spraw politycznych tak zewnętrznych, jak i wewnętrznych. Wszelkie intrygi, uwikłania, machinacje polityczne znajdują wyraz w jego pamiętnikach.

Autor pracy opierając się na tym bogatym źródle historycznym daje krótki zarys wypadków tego okresu. Należy również wspomnieć o lekkości i swobodzie języka, jakim przemawia do nas autor, co w tego rodzaju sprawach zasługuje na szczególne podkreślenie. **Jur. B.**

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Chciałbym kilka słów rzucić w dyskusji, jaką w Nr 43 „Dziś i Jutro" wznawia z czasów przedwojennych ks. Franciszek Błotnicki na temat braku księży poetów. Autor wysuwa trzy czynniki, które rozpatruje w związku z tą sprawą;

1) materiał ludzki, który szedł do seminariów duchownych,

2) studia teologiczne i ich wpływ na psychikę,

3) warunki, wśród jakich duchowieństwo w czasach nowszych pracuje.

Co do pierwszego punktu, to znany jest fakt wśród ogółu społeczeństwa, że bardzo znaczna część kandydatów do stanu duchownego w okresie przedwojennym i jeszcze dawniej, należała do tych, którzy decydowali się na ów stan nie z czystego powołania, ale uważając kapłaństwo za zwykły zawód, będący źródłem utrzymania. O ile stwierdzenie to jest przesadne, to w każdym razie nie ulega wątpliwości, że wielka liczba księży zbliżała się do tego stanowiska; — szczególnie na wsi i w prowincjonalnych miasteczkach. Wiem, że dzisiaj sytuacja pod tym względem poprawiła się.

Co do punktu drugiego, to wbrew temu, co pisze ks. Błotnicki we wznowieniu dyskusji, wydaje mi się, że wychowanie seminaryjne i studia oparte na systemie scholastycznym, nie wpływają korzystnie na rozwinięcie odpowiednich dyspozycyj psychicznych, będących źródłem twórczości poetyckiej. Zaznaczam, że nie chcę tu krytykować celowości wychowania seminaryjnego z ogólnego stanowiska, ale rozpatruję je tylko w odniesieniu do poruszanego zagadnienia.

Otóż jedna z właściwości wychowania seminaryjnego jest o ile możności jak największa izolacja od bieżącego życia zbiorowego z całą jego żywą, bezpośrednią problematyką związaną z różnymi jego przejawami, jak np. politycznymi, społecznymi, artystycznymi, kulturowymi, gospodarczymi, ideowo - wychowawczymi itd. Lektura o tych sprawach nie może zastąpić bezpośredniości przeżywania tych spraw. Ogólnie zaś wiadomo, że poezja o ile jest nią naprawdę, a nie tylko płytkim „wierszykowaniem" tkwić musi korzeniami w dynamice aktualnego życia zbiorowego.

Mógłby ktoś powiedzieć, że choć życie zewnętrzne nie odgrywa w życiu młodego kleryka roli zasadniczej, to za to stoją przed nim niezmierzone przestrzenie życia wewnętrznego. Pomijam tu problem, czy, nie licząc wyjątkowych przypadków związanych ze szczególnym działaniem łask bożych, może rozwijać się głębsze życie wewnętrzne bez poprzedniego przetrawienia i przezwyciężenia życia zewnętrznego? Może w tym się mylę — nie wiem. Natomiast jestem przekonany, że bardzo utrudnia rozwój bujniejszego życia wewnętrznego, duch filozofii scholastycznej, w danym wypadku tomistycznej. Ks. Błotnicki przyznaje, że studia neoscholastyczne przytłumiają głos uczucia. Przy badaniu roli wychowawczej scholastyki, uważałbym za bardziej celowe inne przeciwstawienie; z jednej strony ścisły, skierowany ku abstrakcji, racjonalizm tomizmu i pokrewnych systemów filozoficznych. — z drugiej strony postawa poznawcza o charakterze empirycznym, skierowana bezpośrednio na samą rzeczywistość, a więc opierająca się na doświadczeniu, bądź to zewnętrznym, bądź wewnętrznym. Że druga postawa jest dla twórczości poetyckiej (i w ogóle artystycznej) bardziej korzystna, to wynika z tych samych względów, o których pisałem przy omawianiu roli wychowania seminaryjnego w rozwoju dyspozycyj twórczo - poetyckich. Scholastyka rozwija jednostronnie, tylko zdolności rozumowania dyskursywnego; natomiast drugi kierunek upatrując zgodnie z najnowszą psychologią (całościową, strukturalną, krytyczno - personalistyczną Stern'a itd.) zależność organiczną procesu poznawczego od całości życia psychicznego człowieka,— rozwija bardziej wszechstronnie i głębiej osobowość twórczą;

Pisząc o tych rzeczach, trudno mi się oprzeć zwróceniu uwagi na ciekawą, a może zbyt mało znaną postać księdza — poety, a zarazem działacza ofiarnego wśród krakowskiej młodzieży akademickiej, zmarłego w roku 1941, Stanisława Sapińskiego. W jego ostatnim, przed samą wojną wydanym, zbiorze poezyj pt. „Żagiew płonąca" znajdują się utwory o wcale oryginalnym ujęciu, dając sugestywny wyraz żywo i gorąco przeżywanej problematyce życia współczesnego.

Władysław Zawadzki

EUTANAZJA CZYLI ODPOWIEDŹ PANU MANDLOWI

W 6 numerze „Poprostu" ukazał się artykuł p. Mandla p. t. „O eutanazji, czyli odpowiedź p. Pędichowi". Ponieważ autor artykułu jest studentem medycyny, znanym mi i cenionym przeze mnie zarówno dla jego koleżeńskości, jak walorów intelektualnych, z tym większym zdziwieniem przeczytałem ów elaborat, dowodzący w sposób sofistyczny i zgoła tendencyjny, jakoby Kościół (w świetle mego artykułu w 44 numerze „Dziś i Jutro") był zwolennikiem eutanazji. Wniosek taki wyciąga p. Mandl z przytaczanej przeze mnie opinii Totha.

Ponieważ dla osób niezorientowanych w zagadnieniu eutanazji sugestia p. Mandla wydać się może słuszną, przeto pragnę jeszcze raz — opierając się na przytaczanych w mym artykule moralistach katolickich — przedstawić stanowisko Kościoła w tej materii.

Eutanazję w sensie „urzędowego uśmiercania" traktuje Kościół jak zwyczajne zabójstwo i ocenia ją zdecydowanie negatywnie. Jeśli zaś chodzi o problem łagodzenia cierpień przez stosowanie narkotyków, zdanie moralistów nie jest jednogłośne. Surowsi z nich bezwzględnie potępiają jakiekolwiek łagodzenie cierpień chorego, motywując to doniosłą rolą wychowawczą cierpienia, oraz tymi przesłankami metafizycznymi, które przytoczyłem w mym artykule w „Dziś i Jutro".

Stanowisko takie z lekarskiego, a nawet po prostu ludzkiego punktu widzenia jest trudne do przyjęcia. Zrozumiałym jest bowiem, że nikt nie ma prawa wymagać od chorego heroizmu, wręcz przeciwnie, lekarz powinien ułatwić mu zniesienie ciężkiego okresu choroby, przez możliwe złagodzenie cierpień. Do niedawna możliwe to było jedynie przez zastosowanie narkotyków, których dłuższe używanie (konieczne np. w przypadku daleko posuniętych przerzutów rakowych) wpływało jednak ujemnie na stan chorego, zmuszając do stosowania coraz to większych dawek narkotyku, a przez to niewątpliwie skracając życie cierpiącego.

Fakt ten komplikował proste na pozór zagadnienie etyczne, związane z oceną moralną łagodzenia cierpień. Obok bowiem bardzo humanitarnego **celu** usunięcia cierpienia pojawiał się **wtórny, niezamierzony skutek** — niebezpieczeństwo zaszkodzenia zdrowiu, a nawet pewnego skrócenia życia chorego. Dwóch tych czynników niestety jednak nie można było od siebie odłączyć. (Nota bene nowoczesne metody operacyjnego zwalczania bólu także nie są obojętne dla zdrowia pacjenta). Stojąc więc wobec dylematu, na którego jednym biegunie stało bezwzględne odrzucenie łagodzenia cierpień narkotykami, a na drugim usunięcie bólu kosztem ewentualnego przyśpieszenia śmierci chorego — moraliści katoliccy wybrali tę drugą drogę. Jest to dowodem wysokiej humanitarności Kościoła i dużego zrozumienia potrzeb i warunków życiowych człowieka. Dopuszczając stosowanie narkotyków, Kościół poszedł po linii zgodnej z postulatami medycyny, której jednym z podstawowych zadań było zawsze łagodzenie cierpień ludzi nieuleczalnie chorych.

Przedstawione powyżej stanowisko Kościoła streścił (może zresztą nieco nieszczęśliwie) Toth w cytowanym przeze mnie (a także przez p. Mandla) zdaniu: „Niech nikt nie twierdzi, że chrześcijańska nauka jest okrutna, bo każe choremu cierpieć. Owszem, wolno łagodzić cierpienie chorego odpowiednimi środkami, chociażby go to pozbawiło przytomności, nawet choćby nieco przybliżyło śmierć, — ale zabić go wprost nigdy nie wolno". Ze słów tych wynika w sposób zupełnie oczywisty, że etyka katolicka nie dopuszcza bezpośredniego, celowego zabójstwa, a więc i eutanazji. Zgadza się natomiast na łagodzenie cierpień przez stosowanie narkotyków, mimo że stwarza to niebezpieczeństwo przybliżenia śmierci chorego.

W tym miejscu należy odpowiedzieć p. Mandlowi na zarzut, że — jak się wyraża mój krytyk — „zabójstwo nie wprost jest tak samo zabójstwem". W ocenie etycznej takie utożsamianie jest z gruntu błędne. Jeśli bowiem lekarz, wstrzykujący w celach leczniczych salwarsan natrafi na nadmiernie uczulonego pacjenta, który na zastrzyk zareaguje niespodziewanie szokiem i umrze, to jasnym jest, że winić o zabójstwo lekarza nie będziemy. Podobnie, gdy lekarz poda morfinę **w celu** złagodzenia cierpień, to choćby to ubocznie nieco pogorszyło stan chorego i przyśpieszyło nawet jego zgon, nie może to być utożsamiane ani z prostym zabójstwem, ani z eutanazją. Przedstawiłem to zresztą w sposób zupełnie jasny i niedwuznaczny w mym artykule, pisząc: „Wolno jest podać narkotyki **celem łagodzenia cierpień**, nawet o ile by one przyśpieszyły śmierć, gdyż w tym wypadku śmierć ta byłaby jedynie **wtórnym i niezamierzonym** następstwem. Natomiast bezwzględnie grzesznym byłoby stosowanie narkotyków **w celu** zabicia chorego".

Tak więc sugestie wysuwane przez p. Mandla są co najmniej bezpodstawne. Twierdzenie jakobym w ocenie norm etycznych robił jakikolwiek podział na lekarzy i lekarzy-katolików zrodziło się jedynie w niezbyt widać konsekwentnym umyśle mego kolegi. To też gdyby nie fakt opublikowania jego artykułu w poczytnym piśmie młodzieżowym, należałoby na zarzuty odpowiedzieć parafrazą słów ich autora: „z zarzutami, jakie w swym nazbyt nieścisłym rozumowaniu postawił p. Mandl polemizować nie będę, chociaż moim zdaniem rozumowanie takie bardzo ograniczy w przyszłości twórczą pracę p. Mandla na stanowisku lekarza".

Pędich Wojciech

Czytajcie „SŁOWO POWSZECHNE"

CZERWONE PIĘTNA

(Dokończenie ze str. 11-tej)

się, by Prus zwrócił pożyczoną sumę dwustu czterech rubli.

Ciekawostki? Jak dla kogo. Dla badacza i miłośnika to są wszystko rzeczy nad wszelki wyraz cenne, godne tego by je sygnować czerwonym piętnem i chronić przed zagładą. Dokumenty kultury narodowej.

Tak to pomału, a z niczego, odtwarza się Warszawskie Archiwum Miejskie. Powstaje biblioteka, dział planów i map, dział graficzny i fotograficzny. Starzy pracownicy miejskich instytucyj piszą wspomnienia, czyni się starania, by Niemcy zmuszeni zostali — w charakterze ekwiwalentu za to co narobili w Warszawie — oddać ze swych archiwów szelkie akta i rzeczy, dotyczące naszej stolicy. Myślę jednak, że materiały odnoszące się do dziejów Warszawy znaleźć dziś można nie tylko w Niemczech. W niejednej krajowej rupieciarni, bibliotece, w zbiorach prywatnych — może nawet na strychach czy w składzikach butwieją pewnie zapomniane foliały papierów. Jedyne właściwe dla nich miejsce to Archiwum Miejskie Warszawy.

Zacząłem ten artykuł od sentymentalnych wspomnień o ulicy Leszczyńskiej i książeczce Przyborowskiego. Ale wydaje mi się, że tak trzeba było. Bo ta cała warszawska starzyzna, cienie dawno zmarłych postaci, popalone kamieniczki i legendy o złotych kaczkach to jest przede wszystkim sprawa sentymentu. Tego samego, który sprawił, że na murze pewnej warszawskiej kamienicy zawieszono przed wojną tablicę z takim, mniej więcej napisem: w tym domu mieszkał Ignacy Rzecki, handlowiec, oficer piechoty węgierskiej, postać z „Lalki" Bolesława Prusa.

Paweł Jasienica

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna
Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel 880-71. Konto P.K.O - Nr I-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30
Druk. Skolimowska 5.
Wydawca Kolegium Redakcyjne
Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.
B-63652